

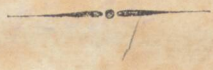
00  
*W. M. Popowski. Antoni*  
*L. Byron G. K. G.*

# PIĘĆ POEMATÓW

## LORDA BIRONA

PRZEŁOŻYŁ

**FRANCISZEK DZIERŻYKRAJ MORAWSKI.**

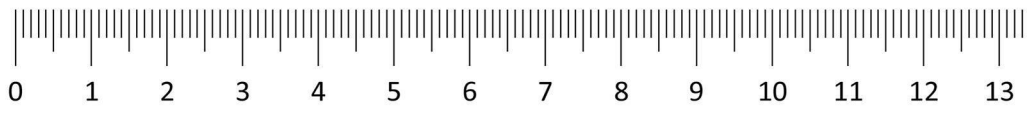
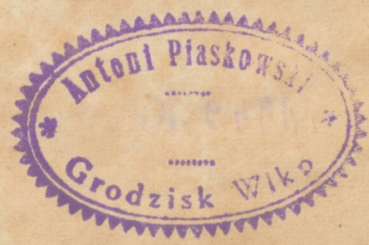


NAKŁADEM AUTORA.

LESZNO.

DRUKIEM ERNESTA GÜNTHERA.

*g* 1853.



BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



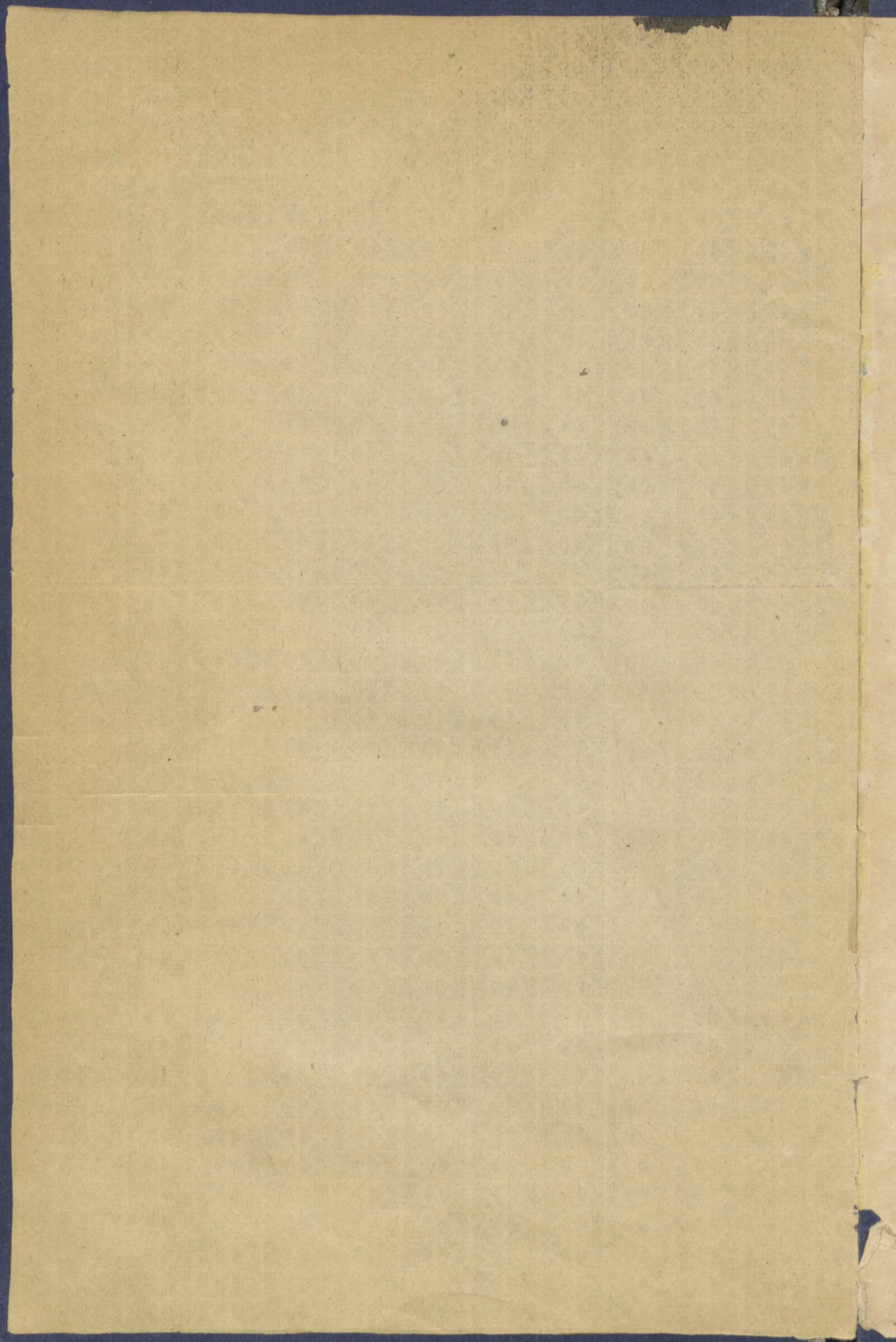
232857

Wypożycza się  
tylko do czytelní



BIBLIOTEKA  
UNIERSYTECKA  
W POZNAŃ





00

*W. P. Pospolski. Antona  
L. Bayron 9. K. G.*

# PIĘĆ POEMATÓW

## LORDA BIRONA

PRZEŁOŻYŁ

**FRANCISZEK DZIERŻYKRAJ MORAWSKI.**

NAKŁADEM AUTORA.

LESZNO.

DRUKIEM ERNESTA GÜNTHERA.

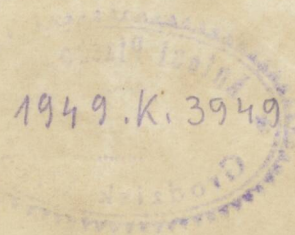
1853.



232857. II



1949. K. 3949



MANFRED.

MAZEPPA.

OBŁĘŻENIE KORYNTU.

PARYZYNA.

WIĘZIEN' CZYLLONU.

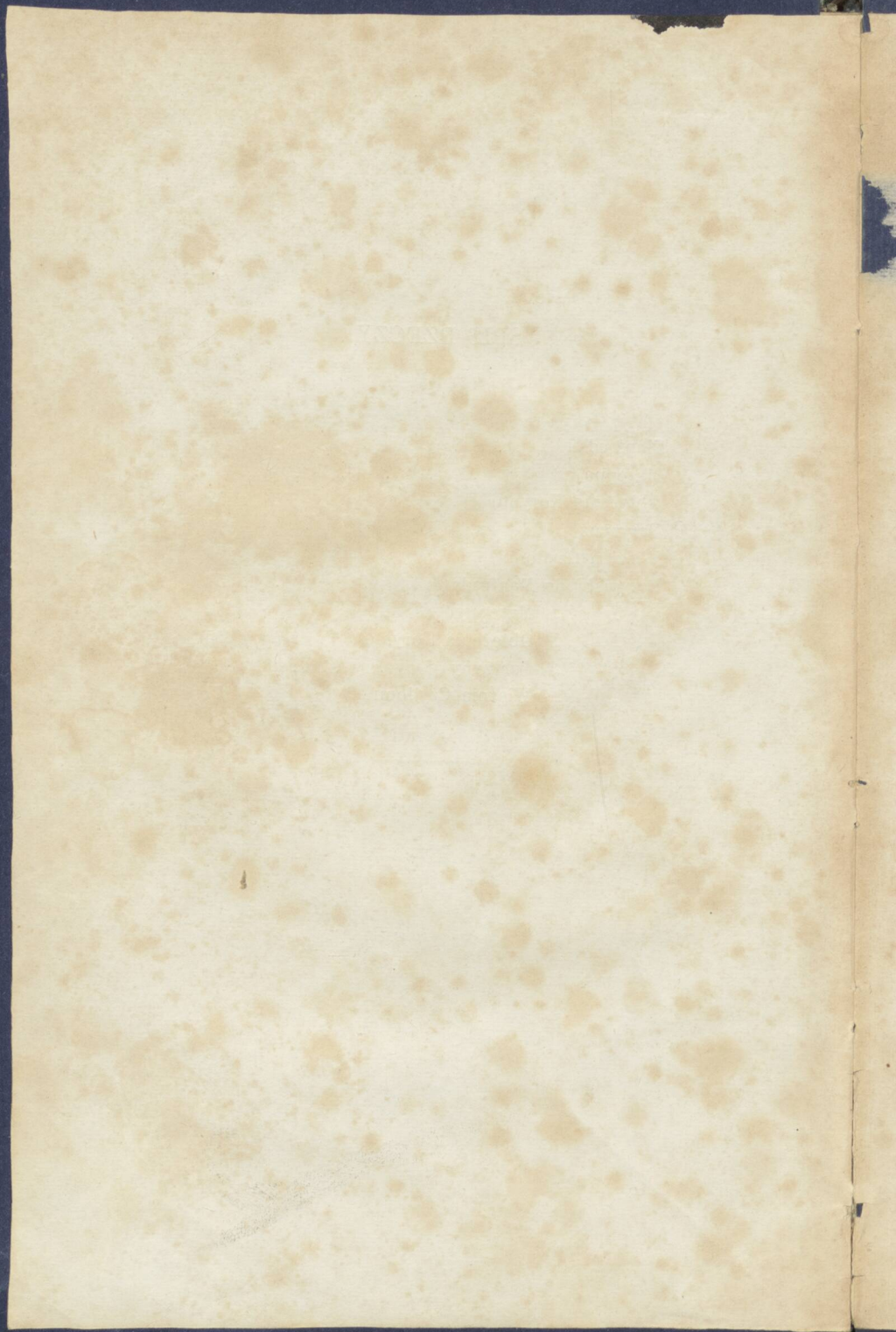
*Wszystkie exemplarze niniejszym stępem nieopatrzone będą  
prawie poszukiwane.*

## SPIS RZECZY.

---

	Str.
Manfred . . . . .	1
Mazeppa . . . . .	91
Oblężenie Koryntu . . . . .	139
Paryżyna . . . . .	195
Więzień Czylonu . . . . .	229
Przypiski do Manfreda . . . . .	257
"    "    Mazeppy . . . . .	260
"    "    Oblężenia Koryntu . . . . .	265
"    "    Paryżyny . . . . .	269
"    "    Więżnia Czylonu . . . . .	271

---



# MANFRED.

POEMA DRAMATYCZNE.

*There are more things in heaven and earth Horatio,  
Than are dreamt of in your philosophy.*

Shakspeare.

---

**O S O B Y.**

---

Manfred.

Strzelec Alpejski.

Opat z klasztoru św. Maurycego.

Manuel.

Hermann.

Wróżka Alp.

Ariman.

Nemezis.

Przeznaczenia.

Duchy.

*Scena w wyższych Alpach, częścią w zamku Mansfeda,  
częścią w górach.*

---

## AKT I.

### SCENA I.

*Manfred sam. Galerya gocka. Północ.*

---

MANFRED.

**T**rzeba dolać kagańca, lecz i wtenczas nawet  
Nie wystarczy tak długo, jak ja czuwać muszę.  
Drzymanie moje, jeżeli drzymię, nie, nie jest snem,  
Lecz jednym długim ciągiem nieprzepartej myśli.  
Jest coś w sercu co ciągle czuwa, a te oczy  
Na to tylko zamknięte, by wewnątrz patrzyły.  
Przecież czuję i żyję. Czuję, żem przybrany  
Wkształt i postać człowieka. — Lecz smutek być winien  
Nauczycielem mądrych. Boleść jest nauką.  
Ci, którzy tu najwięcej dociekli, zgłębili,  
Najgłębiej muszą boleć nad tą straszną prawdą,

Że drzewo wiadomości nie jest drzewem życia.  
Filozofią, nauki, źródła cudów, mądrość  
Świata — wszystkim to zgłębił. Jest władza w tej duszy,  
Która to wszystko w siebie zagarnąć umiała.  
Lecz na nic się nie zdało. Dobrzem czynił ludziom,  
Nie jednomu nawet dobre i od nich odebrał.  
Lecz i to nie pomogło. Wrzałem nienawiścią:  
Żaden wróg mię nie przemógł, wielu z nich poległo.  
Lecz i to nadaremnie. Dobre lub złe — życie —  
Potęga — namiętności, wszystko to, com w innych  
Widział, było tém dla mnie, czém jest deszcz dla piasku,  
Od owęj bezimiennęj chwili. — Nie znam trwogi;  
Czuję klątwę nieznania człowieczęj bojaźni,  
Ni tych silnych uderzeń serca za nadzieją,  
Życzeniem lub miłością czegoś bądź na ziemi.  
Teraz do dzieła mego! — Tajemnicze władze,  
Duchy niezmiernego ogromu stworzenia;  
Wy, których tak w ciemności, jak światło szukałem,  
Co ziemię opływacie — w najczystszej żywiołów  
Zamieszkujecie treści, wy, których pobytam

Zwykłym są gór najwyższych niedostępne wierzchy,  
A głębie ziemi, morza, powszednim widokiem.

Powołuję was przez ten urok napisany,

Który mi daje władzę nad wami. Powstańcie!

Ukażcie się!.... Nie chcecie? — A więc przez głos Tego,  
Co wśród was jest najpierwszym, przez ten znak, przed  
którym

Drżycie, na rozkaz Tego, co jest nieśmiertelnym,

Powstańcie, ukażcie się!.... Co! jeszcze nie chcecie?

Duchy ziemi, powietrza, nie ujdziecie mi tak

Łatwo. — Przez tę potęgę, silniejszą nad wszystkie,

Którym dotąd wymienił. — Przez tę klątwę klątw,

Która na potępioną wylęła się gwiazdzie,

Gorejącej ruinie zburzonego świata,

Piekle podróżującym po odwiecznych sferach,

Przez to przeklęctwo, które na duszy mi ciąży,

Przez tę myśl, co jest we mnie — w kolo mnie —  
wzywam was,

Nakazuje — powstańcie!

*(Ukazuje się gwiazda w najciemniejszej głębi galeryi, stała, nieruchoma. Słychać głos śpiewający.)*

## PIERWSZY DUCH.

Ściągniony mocą uroku,  
Przybywam z głębi obłoku,  
Który tworzy  
Oddech zorzy,  
A gasnące  
Barwiąc słońce  
Pąsem, szafirem i złotem  
Lotnym mię słoni namiotem.  
Mógłbym wzgardzić słowy twemi,  
Przecież ku twemu życzeniu  
Spłynąłem tu na promieniu,  
Czegoż pragniesz, synu ziemi?

## DRUGI DUCH.

Montblanc jest królem nad góry,  
Z wieków osiadł tron skalisty;  
Płaszczem jego czarne chmury,  
A koroną śnieg wieczysty.  
Czarnym lasem przepasany  
W rękę swym trzyma lawinę;

Lecz nim ją ciśnię w dolinę,  
Czeka na znak przez mnie dany.  
Lodozwałów tłum ruchomy  
Ciągłe naprzód postępuje;  
Ale ja to te ogromy  
I popycham i wstrzymuję.  
Jestem duchem téj krainy,  
Kiedy zechcę, górę skruszę,  
W ich podstawach Alpy wzruszę,  
Czegoż pragniesz, zlepku gliny?

## TRZECI DUCH.

Tam, gdzie toń ciemna, straszliwa,  
Gdzie wiatr nigdy nie dosięże,  
Woda w wiecznym śnie spoczywa,  
A morskie gnieźdzą się węże;  
Gdzie Syrena włos zielony  
Wieńczy w muszle oceanu,  
Tam, jakby na huk orkanu,  
Wstałem twym głosem zbudzony.  
Koralowe me podwoje

Echem ozwały się głuchém;  
Odsłoń mi żądania twoje,  
Jestem Oceanu duchem.

## CZWARTY DUCH.

Gdzie trzęsienie ziemi śpiące  
Na wezglowiu lawy leży,  
A jeziora siarką wrzące  
Wykipiają z swych nabrzeży,  
Gdzie Andów korzeń rozrosły  
Tak daleko w ziemię wryty,  
Jak daleko wierzch ich wzniosły,  
W górne wystrzelił błękity.  
Z téj to rodzinnej pieczary  
Spieszę tu na tve wezwanie,  
Zmusiłeś mię twemi czary,  
Jakież jest twoje żądanie?

## PIĄTY DUCH.

Mym rumakiem jest nawała,  
Co każę, łamie, roztrąca;  
Burza, co za mną została,

Jeszcze od gromów gorąca.  
 Na wietrzem tutaj przyplynał,  
 Na morzu flotę przeminął.  
 Śmiało szumne pruća tonie,  
 Tej nocy morze ją schłonie.

## SZÓSTY DUCH.

Wieczna noc czarnym osłania mię mrokiem,  
 Czemuż mię dręczysz tym światła widokiem?

## SIÓDMY DUCH.

Gwiazdą, co losy rozrządza twojami,  
 Rządziłem jeszcze przed stworzeniem ziemi.  
 Byłto świat piękny, ciągłą wiosną słynny,  
 Któremu żaden świat nie zrównał inny.  
 Krążył on wolny i nie zbaczał z toru,  
 Najmilsze dziecię u łona przestworu.  
 Wtém przyszła chwila — i z cudu stworzenia  
 W sprosny się płomień, błędną masę zmienia.  
 Krwawym kometą niebiosą przelata  
 Leci kłątwą, groźbą świata,  
 Pierworodna pcha go siła,

Drogą ślepych pędzi losów,  
 Świetna, krwawa, sproсна bryła,  
 Szkarada, potwór niebiosów!  
 A ty robaku! ty, którego władza  
 Mimo méj wzgardy aż tu mię sprowadza,  
 Ta władza, którą na czas ci tu dano,  
 Aby ją później przez moje złamano;  
 Ty, co mię tutaj ściągnąłeś na chwilę,  
 Gdzie słabe duchy korząc się nizeziemnie,  
 Z tobą tu mówią, z tobą, ziemski pyle,  
 Ozwij się, powiedz, czego chcesz odemnie?

WSZYSTKIE SIEDM DUCHÓW.

Ziemią, morzem, górami, wichrem, ogniem, nocą,  
 Gwiazdą twoją rozrządzaj — pod twoją są mocą.  
 Wszystkie ich duchy słowy ściągnąłeś twojemi,  
 Czegóż chcesz od nich, powiedz synu ziemi?

MANFRED.

Zapomnienia.

DUCH PIERWSZY.

Zapomnieć chcesz? — Kogo i czego?

MANFRED.

Tego, co tu jest we mnie. Czytajcie w mém sercu,  
Wy to znacie, ja tego wysłować nie umiem.

DUCH.

Co sami posiadamy, to tylko dać możemy.  
Żądaj od nas poddanych, władzy nad tym światem,  
Nad całym lub też częścią — żądaj tego znaku,  
Który nam posłusznymi rządzi żywiołami;  
Tego po nas wymagaj, wszystko będzie twojém.

MANFRED.

Zapomnienia jedynie, zapomnienia siebie.  
Tak szczerze mi rozwarłszy tyle państw tajemnych,  
Nie zdołacież z nich dobyć życzeń moich celu?

DUCH.

Nie jest to w naszej mocy, ni naszej naturze,  
Jednakże — możesz umrzeć.

MANFRED.

Czyż z śmiercią zapomnę?

DUCH.

My, cośmy nieśmiertelni zapomnieć nie możemy,

Jesteśmy wieczni. Dla nas przeszłość jest tém samym,  
Czém przyszłość i obecność. Jasneż ci te słowa?

MANFRED.

Szydzicie. Lecz ta władza, co was tu przywiodła,  
Mnie was poddała. Wola moja! niewolniki.  
Ta dusza moja, ten duch, iskra Prometeja,  
Ten błysk mojej istności, jak wasz, tak jest jasny,  
Jak wasz, tak przenikliwy, i w taką dal sięga  
Jak wy, mimo że wparty w to więzienie z gliny.  
Dajcie odpowiedź, albo poznacie, co mogę.

DUCH.

Dajemy już raz daną. Ta odpowiedź wreszcie  
Jest w twoich własnych słowach.

MANFRED.

Jak to rozumiecie?

DUCH.

Jeśliś naszój natury, jak to sam powiadasz,  
Jużeśmy ci odrzekli, mówiąc, że co człowiek  
Śmiercią u was nazywa, nam jest nieznanome.

MANFRED.

A więc próżnom was z waszych skrytych państw wywołał,  
Nie możecie, albo téż nie chcecie mi pomóc.

DUCH.

Dajem, co posiadamy. Żądaj, będzie twojém,  
Namyśl się, nim ulecim. Żądaj podług woli,  
Tronu, rządu, potęgi lub długiego życia.

MANFRED.

Przeklęty! — i na cóż mi dłuższe zda się życie?  
I tak już nazbyt długie. Precz ztąd, precz odemnie.

DUCH.

Wstrzymaj się. Raz tu będąc, pragniem ci dopomóc.  
Namyśl się, czyli nie ma już innego daru,  
Co byłby w naszej mocy, a dość godny ciebie.

MANFRED.

Nie—niema. Przecież stójcie. Wprzód nim się rozłączym,  
Chciałbym się wam przypatrzeć, śmiało, oko w oko.  
Słyszę ztąd wasze głosy, słodkie, smętne dźwięki,  
Jak muzykę na wodach. Widzę nieruchomą,  
Jasną, szeroką gwiazdę, lecz nad to nic więcej.

Przybliżcie się tu do mnie, jakiemi jesteście,  
Lub jeden, lub téż wszyscy, w waszych zwykłych  
kształtach.

DUCH.

Niemamy innych kształtów prócz kształtu żywiołów,  
Których razem pierwiastkiem i duszą jesteście,  
Lecz wybierz sobie postać, a w téj się ukazem.

MANFRED.

Niema dla mnie wyboru. Niema już na ziemi  
Brzydkich ni pięknych kształtów. — Niech najpotęż-  
niejszy  
Wśród was taką przybierze postać, jaką uzna  
Za najlepszą dla siebie. — Jaw się! stań przedemną!

DUCH SIÓDMY

*ukazujący się w postaci pięknej kobiety.*

Patrz!

MANFRED.

Nieba! jeżeli tak jest, jeżeli ty nie jesteś  
Złudzeniem lub szyderstwem, jeszcze, jeszcze mógłbym  
Zostać szczęśliwym. O pójdz tu w moje objęcie!  
A znowu, znowu będziem. (*Widmo znika.*) Sercem moje pękło!

*(Manfred pada bez zmysłów. Słychać nad nim  
głos następnego śpiewu.)*

Gdy księżyc w morskiej odbije się fali,  
Świecący robak w pośród traw zabłyśnie,  
Gdy się meteor nad grobem zapali,  
I z stęchłych bagnisk drżący ognik tryśnie,  
Gdy lotne gwiazdy złączą z niebios spadać,  
I sowa sowie hukiem odpowiadać,  
Gdy wszystko zimną pokryje się nocą,  
Żaden się listek w cieniu gór nie wzruszy,  
Wtenczas ja z moim i znakiem i mocą  
Będę na twój ciężył duszy.

Choćbyś w najgłębszym nawet śnie spoczywał,  
Próżno go będziesz dla duszy twój wzywał;  
Są cienie, co się rozprosyć nie dadzą,  
Są myśli, żadną nieodparte władzą;  
Ciągłe i straszna i nieznana siła  
Będzie ci twoją samotność kłóciła.

Jesteś jak czechłem śmierci obwinięty,  
Jesteś jak w czarnym obłoku zamknięty,  
I nie cię z tego zakłętego koła  
Nigdy już wydrzeć nie zdoła.

Kiedy przed oczy przepłynę twojemi,  
Choć mię nie ujrzysz, poczujesz mię niemi,  
Jako istotę dziwnego zjawiska,  
Co niewidzialna, przecież ciebie blizka;  
A gdy tak mrozem twogi zadrzysz cały,  
Zwolna za siebie zwrócisz oko twoje,  
Dziwić się będziesz, nie pojdziesz zdumiały,  
Zkąd ja za tobą, jak cień twój nie stoję;  
A to, co ciebie takim dreszczem wzruszy,  
Z twojej tylko przyjdzie duszy.

Okropne słowa tajemniczej siły  
Straszną, wieczystą, klątwą cię ochrzcili,

Jest duch w powietrzu, co cię pęty swemi  
Ujął, usidlił i skrępował niemi;  
Będiesz głos słyszał w pośród wiatrów wycia,  
Który ci zmiesza wszelką roskosz życia;  
Noc na to swoim cieniem cię pokryje,  
By w piersiach twoich jątrzyć zgryzot żmije,  
A dzień ci będzie wydawał się wieczny,  
Tak cię zdręczy blask słoneczny.

Z fałszu łez twoich wysączyłem jady  
Z własnością silnej i szybkiej zagłady,  
Wziąłem krew w sercu czerniącą się twojém,  
Tam gdzie najbrzydszym przetacza się zdrojem,  
Z uśmiechu twego wyłowilem żmije,  
Co się w nim, jakby w pośród wrzosów, wije;  
Usta me z ust twych taki jad wypily,  
Który tym wszystkim jadom dodał siły;  
Wziąłem, przeszedłem trucizn szereg cały,  
Żadne twojej nie zrównały.

Przez te bezdenne zrad twoich głębiny,  
Przez ten lód serca i uśmiech gadziny,  
Przez te kłamane okiem twojém cnoty,  
Przez wszystkie duszy twój fałsze, sromoty,  
Przez zbrodnie w pozór ludzkości przybrane,  
Przez to tak sztuczne, dokładne oszczerstwo,  
Przez te roskosze z cudzych mąk wysane,  
Przez to okropne z Kajnem braterstwo,  
Wzywam, zarzekam i potępiam ciebie,  
Zostań sam piekłem dla siebie.

I na twą głowę wylewam tę czarę,  
Co na tę straszną poświęca cię karę.  
Nigdy się kresu mąk twych nie dowolasz,  
Nie zdołasz zasnąć, ni umrzeć nie zdołasz;  
A gdy już będziesz mniemał się przy kresie,  
Śmierć ci nie ulgę, lecz postrach przyniesie.  
Ha! klątwa działa — już się ciebie chwyta,  
Już bezdźwięcznemi kępuje cię pęty,

Cała twa istność tą kłąwą przeszyta,  
 Giń więc i wiedniej — przeklęty!

**SCENA II.**

*Góra Jungfrau. Poranek.*

MANFRED

*sam na skałach.*

Duchy, którem przywołał, uciekły odemnie,  
 Zawiodła sztuka zaklęć, z trudem wyuczona;  
 To, co miało uleczyć, trucizną się stało.  
 Nie, nie spuszcza się więcej na pomoc nadludzką,  
 Przeszłość nie jest w jej władzy, a póki ta przeszłość  
 Nie zatoni w ciemności, o przyszłość nie stoję.  
 O ziemio, matko moja! ty ranku młodzieńczy,  
 I wy góry, dla czegoż tak piękne jesteście?  
 Nie mogę was pokochać. — Światne oko świata,  
 Ty, co wschodzisz dla wszystkich, w wszystkich radość  
 budzisz,

Mojego ty już serca rozświecić nie zdołasz.  
Skały, na których zrębie przepaścistym stoję,  
I tam w tej mglistej głębi, nad brzegiem potoku,  
W tej ciemnej, strasznej dali, wzniosłe widzę sosny  
Zdrobnione jakby krzewy — gdy jeden krok, jedno  
Zachwianie się, a nawet jeden oddech mógłby  
Piersь moję rozbić o to kamieniste łoże,  
I sercu pokój wrócić — czemuż się wstrzymuję?  
Czuję popęd, a przecież nie rzucam się w głębią,  
Widzę niebezpieczeństwo, a nie cofam kroku.  
Zawrot to głową chwieje, noga silnie stoi.  
Jest nademną potęga, która mię wstrzymuje  
I jakąś tajną klątwą do życia mię zmusza,  
Jeśli dźwigać tę ciężką czczość, pustynię ducha,  
Być grobem własnej duszy, życiem zwać się może,  
Gdyż przestałem przed sobą uniewinniać siebie  
I tak ostatnią zbrodni zwyciężyłem słabość.

*(Orzeł przelata.)*

Ha! lotny gończe, górne prujący obłoki,  
Ty, co tak błogim pędem szczytu niebios sięgasz,

Tak blisko mnie przelatasz, bo mam być twym łupem,  
 Nasyćcie tve pisklęta. — Uciekleś! — Nie zgonię  
 Cię okiem, gdy ty w górę, w dół i wskrosz przezierasz  
 Strzałą wzroku orlego. O jakże jest piękny,  
 Jak uroczy, wspaniały ten świat niezmierny,  
 Jakże w swoim działaniu, jak sam w sobie wielki.  
 Lecz my, co Panów jego przybieramy imie,  
 My pół prochu, pół bóstwa, niezdolni spaść niżej,  
 Niezdolni wyżej wzlecić — my to podwójnością  
 Natury naszej pokój żywiołów burzymy;  
 Raz pychą oddychamy, drugi raz podłością,  
 Klóćimy wzniosłe myśli z nizkimi potrzeby,  
 Póki wreszcie śmiertelność nie przemoże nasza  
 I człowiek tém się staje, czego ani sobie,  
 Ani innym nie wyzna. Słuchaj odgłos fletu

*(słychać w dali flety pasterskie)*

Alpejskiego pasterza nieuczone dźwięki!  
 Tu jeszcze nie są bajką dni złotego wieku.  
 Jakże mile te tony w wolném brzmia powietrzu,  
 Zmieszane z głosem dzwonków igrającej trzody.

Radbym duszą te echa wypić — o czemuż nie  
 Jestem lubego dźwięku duchem tajemniczym,  
 Głosem żyjącym — tchnieniem harmonii — lotną,  
 Eteryzną rozkoszą — abym mógł zarazem  
 Żyć i umrzeć z tym dźwiękiem, coby dał mi życie.

*(Wchodzi na górę strzelec alpejski.)*

STRZELEC.

Tędy mi uciekł kozieł — tutaj znikł mi z oczu.  
 Zdobycz moja nie warta tego, com dziś ważył;  
 Ale któż to? — nie strzelec, a przecież się wdrapał  
 Tam, gdzie żaden się z naszych nie dostał górali,  
 Wyjawszy kilku strzelców. Ubiór jego dobry,  
 Na twarzy śmiałość, oko jak gdyby wolnego  
 Szwajcara dumne. Muszę się zbliżyć.

MANFRED

*nie widząc strzelca.*

Takim być,

Osiwiałym troskami — jak te uschłe sosny,  
 Ruiny jednej zimy — bez kory — gałęzi  
 Na przeklętym korzeniu pnem zgasłym, umarłym,  
 Co tyle tylko czuje, że ciągle domiera.

I być takim, i wiecznie tylko takim, i już  
 Nigdy jak dawniej! — zostać zmarszczkami zoranym,  
 Które nie długie lata lecz chwile wyrwały,  
 Godziny męczarniami zamienione w wieki.  
 Takim być i żyć jeszcze! — Wzniosłe skały lodu,  
 Lawiny, które jeden oddech zwiewa, góry  
 Zасыpujący wami — przywalcie mię, ruńcie!  
 Słyszę was, jak co chwila nademną, podemną,  
 Zawalacie się z grzmotem, mnie mijając zawsze.  
 Tam tylko upadacie, gdzie miłém jest życie,  
 Na las młody, kwitnący, cichą skromną chatę,  
 Spokojne niewinnego wieśniaka siedziby.

## STRZELEC.

Mgła się wznosi z doliny, ostrzedz go potrzeba,  
 Inaczéj może drogę i życie utracić.

## MANFRED.

Mgły krążą naokoło lodozwałów. Chmury  
 W białych, siarczystych kłębach wirują podemną,  
 Jak pjana wzburzonego oceanu piekła,  
 Co ciąglým wałów szturmem bije o brzeg życia,

Zasłany potępieńcem jakby żwirem morza.

Cmi się mi w oczach.

STRZELEC.

Muszę zwolna się przybliżyć,  
Zbyt nagle przystępując, mógłbym go przerazić,  
A i tak chwiać się zdaje.

MANFRED.

Cale góry padły,  
Zostawiwszy po sobie wielkie w chmurach próżnie,  
Wstrzęsły hukiem upadu pobratymcze Alpy,  
Zgniotły gruzem zniszczenia wdzięcznych dolin żniwa,  
Rzeki nagle przecięte, wstecznym buchły warem,  
Wody w mgły się roztrysły i źródła zapchane  
Musiały bieg swój zmienić, nowych koryt szukać.  
Tak pod lat swych ciężarem padł niegdyś Rozenberg.  
Czemuż pod nim nie stałem?

STRZELEC.

Strzeż się przyjacielu.  
Krok jeszcze a śmierć znajdziesz. Nie stój nad tym  
brzegiem,  
Nie stój, przez miłość Tego, który stworzył ciebie.

MANFRED  
nie słyszac go.

Taki właśnie grób dla mnie byłby przyzwoitym,  
Moje kości spokojnie leżałyby w głębi,  
Nie byłyby rozsiane po tych nagich gładach,  
Na grę wiatrów — jak teraz będą — teraz! po tym  
Skoku w przepaść. — Żegnam cię rozjaśniające się  
Niebo! — O nie patrz na mnie z tym srogim wyrzutem.  
Nie dla mnie cię stworzono. Ziemi! przyjmij prochtwoj!

*(W chwili, gdy Manfred chce się rzucić w przepaść, strzelec go nagle chwytą i wstrzymuje.)*

STRZELEC.

Stój szaleńcze! — Chociażes sobie zbrzydził życie,  
Nie plam tych czystych dolin twoją krwią zbrodniczą;  
Preczmi ztąd, uchódź zemną, z rąk cię mych nie puszcze.

MANFRED.

Boleść to serca mego..... nie chwytaj mię, puszczej.....  
Cały osłabłem..... góry w około mnie wielkim  
Toczą się kręgiem.... wzrok mój ściemniał.... kto ty jesteś?

STRZELEC.

Potem dam ci odpowiedź — teraz uchódź zemną,

Chmury w górze gęśnieją — tu, oprzeź się na mnie,  
Postaw tu nogę — tutaj — wspieraj się tym kijem,  
Uchwyc się tego krzaku — teraz podaj rękę —  
Trzymaj się mego pasa — zwolna — dobrze, dobrze,  
Za godzinę staniam u chatki. Wkrótce będziem  
Stapać bezpiecznie; dojdziem do téj nowéj ścieszki,  
Którą potok wiosennym wyłobił roztopem,  
Dalej—dobrze—przedziwnie—tyś na strzelca stworzon.

*(W chwili gdy z trudnością z skał schodzą,  
scena się zamyka.)*

Koniec aktu pierwszego.

## AKT II.

*Chata w Alpach Berneńskich.*

### SCENA I.

MANFRED I STRZELEC.

---

STRZELEC.

Nie — nie — musisz wypocząć, nie możesz pójść teraz,  
Ciało nazbyt znużone, dusza niespokojna,  
Byś mógł sobie zaufać. Czekał kilka godzin,  
Skoro do sił powrócisz, sam cię przeprowadzę.  
Ale — dokąd?

MANFRED.

Nie trzeba. Droga mi wiadoma,  
Trafię bez przewodnika.

STRZELEC.

Twoja szata, postać

Świadczą jasno, że jesteś wysokiego rodu,  
Jednym z tych władców, których ozamezone skały  
Patrzą w dolin niziny. Któraż cię z nich zowie  
Panem swoim? Mnie tylko bramy ich są znane;  
Moje życie strzeleckie rzadko mi dozwala  
Wejść tam i sięść przy wielkiem zamków tych ognisku,  
Pohulać z wassalami. Wszystkie przecież ścieżki  
Które z gór tych do waszych prowadzą tam zamków,  
Znane mi są z dzieciństwa. Któryż z nich jest twoim?

MANFRED.

Na co ci o tém wiedzieć.

STRZELEC.

Wybacz ciekawości,  
Bądź lepszej myśli Panie. Spróbuj tego wina,  
Rozgrzewało krew moję wśród tych dzikich lodów,  
Niech i ciebie pokrzepi. Wypij, wypij do mnie.

MANFRED.

Precz, precz, krew jest na brzegu. Nigdyż więc już, nigdy  
Nie wsięgnie w ziemię.

STRZELEC.

Panie! cóżto mniemasz przezto?

Jesteś jak w obłąkaniu.

MANFRED.

Krew, mówię, krew moja,  
Czysty, gorący strumień, co w żyłach mych ojców,  
Co w naszych płynął żyłach, gdyśmy młodzi byli  
I jedno mieli serce, — i tak się kochali  
Jak się kochać nie wolno. Ta to krew przelana.  
Ale ciągle powstaje i czerwienieją chmury,  
Od niebios mię odpycha — w których ty nie jesteś,  
I ja nigdy nie będę.

STRZELEC.

Człowieku słów dziwnych!

Jakiś grzech do szaleństwa cię przywiódł i pustość  
Zaludnia ci marami. Lecz jaki bądź przestach,  
Lub też boleść cię dręczy, jest zawsze pociecha,  
Jest pomoc świętych mężów, cierpliwość niebieska,

MANFRED.

Cierpliwość i cierpliwość. Słowo to stworzone

Dla bydła w jarzmie, nie zaś dla ptaków drapieżnych,  
Rozprawiaj o niej ludziom, co tobie podobni,  
Jam nie jest z waszój liczby.

STRZELEC.

Dzięki, dzięki niebu,  
Za sławę nawet Tella nie chciałbym być tobą!  
Lecz jaka bądź niedola, trzeba ją tu znosić,  
I dzikie z nią zapasy nic ci nie pomogą.

MANFRED.

Czyż nie znoszę? — patrz, żyję.

STRZELEC.

Nie zdrowość to życia,  
Ale jego gorączka.

MANFRED.

Człowieku, przeżyłem  
Lat wiele — długich, długich lat, ale niczém są  
Przy tych, co mię czekają — ach! wieki i wieki —  
Niezmierzoneść i wieczność — i ta wiedza siebie,  
I dzika żądza śmierci — nigdy nie zgaszona!

STRZELEC.

Jakto? ledwie że mężkie dojrzały ci lata.

Jam daleko jest starszym.

MANFRED.

Więc mniemasz, że życie

Od czasu tu zawisło. Zapewne — lecz czyny

Są dla nas epokami. Te to czyny moje

Zmieniły mi dni, noce w nigdy nieprzebyte,

Nieskończone — a wszystkie tak podobne sobie

Jakby piasek nad morzem — niezliczne atomy —

Pustynia płonna, zimna, ciągle morzem bita

I na której nic nie ma prócz skał, trupów, szczętów

Rozbicia — i nasiąknięch solą zielsk goryczy.

STRZELEC.

Niestety! on szalony. Nie mogę go puścić.

MANFRED.

O! czemuż nim nie jestem. Wszystko to, co widzę,

Snem by tylko bezładnym było.

STRZELEC.

I cóż widzisz?

Lub zda ci się, że widzisz?

MANFRED.

Widzę mnie i ciebie,  
Alpejskiego wieśniaka — twoje ciche cnoty,  
Dach gościnny — cierpliwość — wiarę — dumę — wolność,  
Szacunek siebie — owoc niewinności myśli,  
Dni zdrowia — nocy senne — trudy uzacnione  
Niebezpieczeństwem; przecież niewinne — nadzieję  
Lat długich i swobodnych — wreszcie grób spokojny,  
Na zielonej murawie krzyż i wieniec kwiatów,  
A miłość i łzy wnuków za nagrobek cały.  
To ja widzę — a potem patrzę wewnątrz siebie,  
Lecz na co? — dusza moja już zdawna popiołem.

STRZELEC.

Więc chciałbyś dołą twoję na moje zamienić?

MANFRED.

Nie! nie chciałbym cię gubić. Z nikimby na świecie  
Nie mieniał się na dołą. Znoszę ją. Jakkolwiek  
Okropna, znieść ją można. W życiu rzeczywistém  
Znoszę, czegoby inni w śnie nawet nie znieśli.  
Zabiły ich sen taki.

STRZELEC.

I z taką tkliwością

Na boleść bliźnich, tybyś miał być zbrodniarzem? — Nie!  
 Nie mów tego. Czyż można z tą dobrocią w duszy  
 W krwi wrogów szukać zemsty?

MANFRED.

O nie, nie. Jam zgrzeszył  
 Przeciw tym, co mię tkliwie kochali i których  
 Sam kochałem nad życie. Żadnego z mych wrogów,  
 Oprócz w słusznej obronie, nie zgładziłem z zemsty,  
 Ale w uściskach moich śmierć była.

STRZELEC.

Niech ci Bóg

Zwróci pokój, a skrucha dawne zwróci życie;  
 Nie przepomnę cię w modłach.

MANFRED.

Mnie model nie trzeba,  
 Lecz mogę znieść twą litość. Odchodzę. Czas na mnie.  
 Żegnam cię. Masz tu złoto, — dzięki. Ani słowa,  
 Bierz, jako ci należne. Zostań, nie chódź za mną,

Wiem drogę, i znów w górach wszystko jest bezpieczne.  
Raz jeszcze, nie chódź za mną — taka moja wola.

*(Manfred odchodzi.)*

## SCENA II.

*Dolina w Alpach. Wodospad.*

MANFRED

*wchodzi.*

Jeszcze nie jest południe. Jeszcze promień słońca  
Trojfarbnym niebios łukiem grzmiący potok stroi,  
A spadając z tym srebrnym, zbałwanionym słupem  
Z owych skał tak straszliwie przepaścisto stromych,  
Rzuca wzdłuż lśniące smugi spienionego światła. —  
Słup się ten tak potrząsa, jakby trząśł swą kitą  
Ów koń blady — koń olbrzym — na którym śmierć jedzie  
W księdze Apokalipsy. — Sam ja mojem okiem  
Sam tylko piję teraz urok téj piękności  
I tak błogo samotny, sam tu z miejsce tych duchem

Dziele się wód tych hołdem. — Wezwę tego ducha.

*(Manfred bierze na dłoń nieco wody, ciska nią w powietrze, ciche wymawiając zaklęcia. Wróżka Alp pokazuje się pod tęczą potoku.)*

Duchu piękny! z tym włosem promiennym, z tém okiem  
 Co blaskiem swym ocienia. Ty, w którym się piękność  
 Najpiękniejszych cór ziemi w boską kształci postać,  
 W istność czystszych żywiołów. Ten kwiat twego lica  
 Podobny jest rumieńcom uspciónej dzieciny  
 Macierzyńskiego serca kołysanej biciem;  
 Podobny barwie róży, którą zorza letnia  
 Powleka śnieg dziewiczy szczytnych opok lodu  
 (Zrumienienie się ziemi w objęciu niebiosów). —  
 Ta to młodość ojaśnia twą postać niebiańską  
 I gasi piękność tęczy wiszącej nad tobą.  
 Duchu piękny! w twém jasném i pogodném czole  
 W tém tak czystém zwierciadle spokojności duszy,  
 Która sama już przez się nieśmiertelność świadczy,  
 Czytam, że mi przebaczysz, mnie, synowi ziemi,  
 Któremu nie raz tajne pozwalają władze  
 Obcowania z duchami (gdy na tém przyzwaniu

Zyskać mogę,) przebacysz, żem cię tu wywołał,  
By chwilę patrzeć na cię.

WRÓŻKA.

Znam cię synu ziemi,  
Znam cię jako człowieka i myśli i czynów  
Równie złych jak i dobrych, lecz zawsze nad miarę.  
Znam jak twórcę twych cierpień — skazanego na nie.  
Czekałam tu na ciebie. Czegoż chcesz odemnie?

MANFRED.

Chcę patrzeć na twą piękność. Nic więcej nie żądam,  
Widok ziemi przywiódł mię do szału. Szukałem  
Więc ratunku w jej tajniach. Wdarłem się do ciemnie  
Tych władz, które nią rządzą — lecz mi nie pomogły.  
Już ich odtąd nie wezwę.

WRÓŻKA.

Czegoż mógłś żądać,  
Coby nie było w mocy możnych — w mocy władców  
Świata niewidzialnego.

MANFRED.

Jednej tylko łaski...  
Lecz pocóż mam powtarzać — byłoby napróżno.

WRÓŻKA.

Nie wiem czegoś chciał, powiedz.

MANFRED.

Dobrze. Męką dla mnie  
Będzie to przypomnienie. Ale mniejsza o to.  
Znajdzie głos boleść moja. — Od pierwszej młodości  
Duch mój nigdy nie dążył ludzkich istot drogą,  
Ni ludzkiemi oczyma na tę patrzył ziemię.  
Wszelka żądza ich dumy dla mnie obcą była  
Obcym i cel ich życia. Moja radość, boleść,  
Namiętność, siła ducha, wszystko mię czyniło  
Cudzoziemcem ich świata. Sama postać tylko  
Nie współczucie z żyjącym łączyło mię rodem.  
Z całej massy tych niskich, podłych tworów ziemi  
Jedna — ach, jedna tylko — ale później o niej.  
Z ludźmi, z myślami ludzi lekką tylko miałem  
Styczność. — Moją rozkoszą było błądzić w puszczach,  
Ostrém szczytu gór śnieżnych oddychać powietrzem,  
Gdzie ptak się nie śmie gnieździć, owad nad beztrawnym  
Nie ulata granitem. Ciskałem się w potok,

Nurzał w wirze bałwanów, toczył z pędem prądu  
Po wodach z krą lejących, tak w rzekach jak morzu.  
Był to tryumf sił młodych. Ileżkroć noc całą  
Ciągnąłem zwolna okiem za ruchem księżycą,  
Wpatrywałem się w gwiazdy i bieg ich śledziłem,  
Wparłem wzrok w błyskawicę, aż się w oczach śmiło;  
Patrząc na liść opadły słuchałem wieczorem  
Wiejących mi jesiennych wiatrów smętnej pieśni.  
Ta rozkosz i samotność moją szczęściem były,  
A jeżeli istoty, z których liczby byłem,  
(I ztąd sobie obrzydły,) przeszły mi przez drogę,  
Czułem, że tym zbliżeniem znów zniżyłem siebie  
I znowu byłem ziemią. Wtenczas to myśl moją  
Grążyłem po samotnych drogach w lochach śmierci,  
W skutkach śledząc przyczyny. Wówczas wyciągałem  
Z spróchniałych kości, czaszek i tysiąca prochów  
Zakazane domysły. Tak całych lat noce  
Trawiłem na naukach nigdy niezgłębionych,  
Prócz w starych świata wiekach. Tak z pracą i czasem  
Przez próby najstraszniejsze, twarzą z ciałem walczę,

Co sama już zdobywa władzę nad powietrzem,  
 Duchami, (które w okół ziemi i przestrzeni,  
 W okół nieskończoności zaludnionej krążą,)
   
Oczym moje nareszcie oswoił z wiecznością.  
 Tak przedemną Magowie, tak Ten, co z ich wodnych  
 Mieszkań przyzwał Anteros i Eros w Gadarze,  
 Tak ja ciebie przyzwałem. Z każdym z mych docieczeń  
 Rosła żądza dociekań, rosła władza, rozkosz  
 Najświetniejszej nauki, dopóki . . .

WRÓŻKA.

Mów dalej.

MANFRED.

O dla tego się tylko tak długo rozwodzę,  
 Z tak płonnych chlubię darów, ponieważ w téj chwili  
 Zbliżam się już do rdzenia sercowej boleści.  
 Lecz przystąpmy i do niej. Jeszczem ci nie wspomniał  
 Ojca, matki, kochanki, przyjaciół, nikogo,  
 Z którym wspólnie tu wlokłem ziemskich węzłów pęta.  
 Miałem te węzły, przecież sercem ich nie czułem.  
 Lecz jedna była! —

WRÓŻKA.

Mów, mów, nie oszczędzaj siebie.

MANFRED.

Była do mnie podobną rysami — jój oczy,  
 Jój włosy — wyraz twarzy — sam dźwięk nawet głosu,  
 Wszystko, jak powiadano, było jakby mojem,  
 Lecz wszystko w słodszy kształcie, złagodzone w pię-  
 kność.

Równie jak ja lubiła samotne dumania,  
 Pielgrzymki i zgłębiania tajemniczych nauk,  
 I jak ja miała duszę zdolną świat ten pojąć.  
 Ale słodsze od moich miała jeszcze władze:  
 Litość, uśmiech, łzy miała, których ja nie miałem,  
 I rzewną tkliwość, którą dla niej tylko czulem,  
 Pokorę — której nigdy nie zaznałem w sobie.  
 Błędy jój podzielałem, cnotom obcy byłem,  
 Kochałem ją — zabiłem.

WRÓŻKA.

Twą ręką?

MANFRED.

Nie ręką.

Sercem serce zburzyłem. Spojrzało na moje  
 I zwiędło.—Krew przelałem — nie jój krew — a przecież  
 Jój to krew wytoczono. Patrzyłem się na to  
 A zatrzymać nie mógłem.

WRÓŻKA.

I ty więc dla takiej —  
 Istoty tego rodu, którym sam pogardzasz,  
 Stanu — nad który chciałeś się wynieść tą sztuką,  
 Którą z nami obcujesz — ty dlań zapominasz  
 O darach naszej wielkiej nauki — i znowu  
 Cofasz się w tę tchórzliwą śmiertelność? — Precz z tobą!

MANFRED.

Córo powietrza! — słuchaj. — Od owój godziny —  
 Ale słowa są wiatrem — patrz na mnie w śnie moim,  
 Lub czuwaj z czuwającym. Pójdź i zostań przy mnie.  
 Samotność samotnością dla mnie być przestała,  
 Jędze ją zaludniły. — Zgrzytałem zębami  
 Przez całą noc do rana. Przeklinałem siebie  
 Aż do słońca zachodu. Jak o łaskę niebios  
 Żebrałem o szaleństwo — i dać go nie chciały.

Szukałem wszędzie śmierci — lecz w szturmie żywiołów  
 Wody się jak zakłète cofały odemnie:  
 Co mi śmierć przynieść miało, minęło bez śladu.  
 Zimną dłonią najstroższy duch mię za włos trzymał,  
 Za jeden tylko włos — a urwać się nie chciał.  
 Tonąłem w fantazyi, wyobraźni głębiach  
 W całej pełni, wezbraniu wszystkich nawał duszy,  
 Duszy — co niegdyś była Krezusem w tworzeniu.  
 Lecz jakby porwanego morskich wód odpływem  
 Zepchnięto mię znów w otchłań mej bezdennnej myśli.  
 Rzuciłem się w war ludzi. Chciałem zapomnienia.  
 Szukałemgo we wszystkim, prócz gdzie znaleźć można.  
 Uczyć się tego muszę. Cały zbiór mych nauk,  
 Ta tak długo szukana i nadludzka sztuka  
 Płonnemi są tu dla mnie. Rozpacz mojem życiem,  
 Przecież żyję i żyję na wieczność.

WRÓŻKA.

Być może,

Iż dam pomoc skuteczną.

MANFRED.

Ażeby mi pomodz,

Potrzeba zmarłych wskrzesić, lub mnie złożyć z niemi.  
Uczyn to — w jakimkolwiek sposobie lub czasie,  
Z jaką bądź dla mnie męką, byle już ostatnią.

WRÓŻKA.

Nie jest to w mojej władzy, lecz jeżeli przysięsz  
Podległość mojej woli, każdy rozkaz spełnisz,  
Mogę cię doprowadzić do życzeń twych celu.

MANFRED.

Nie przysięgnę. Podlegać! Komu? Duchom, które  
Na mój rozkaz stawają? ja mam być służalcem  
Tych, co mi służą? Nigdy!

WRÓŻKA.

Ostatnież to słowo?  
Czyż nie masz odpowiedzi mniej ostrój? Namysł się,  
Rozważ wprzód, nim odrzucisz.

MANFRED.

Jużem dał odpowiedź.

WRÓŻKA.

Dobrze! — a więc mogę już oddalić się?

MANFRED.

Oddal.

*(Wróżka znika.)*MANFRED *sam.*

Tak przestrachu jak czasu igraszką jesteśmy,  
 Dni się ku nam skradają, przekradają, giną,  
 Żyjem, brzydząc się życiem, a lękając śmierci.  
 Z wszystkich dni tego życia (jarzma obmierzłego,  
 Żyjącego ciężaru na walczącym sercu,  
 Które w troskach upada, żywiej bije w męce,  
 Rozkoszy, co się śmiercią lub omdleniem kończy,)

Z wszystkich dni przeszłych, przyszłych, (obecności  
 bowiem  
 Nie ma to życie nasze,) jak mało tych liczym,  
 Jak mniej nawet niż mało, w których dusza nasza  
 Nie zatęskni za śmiercią — a przecież się cofa  
 Jakby od rzeki w zimie — choć dreszcz zanurzenia  
 Byłby tylko chwilowym. — Przecież w mej nauce  
 Jedną pomoc mam jeszcze. — Mogę przyzwać zmarłych  
 I spytać, czém być może to, czego się boim.

Najsroźszą odpowiedzią „Grób“ tylko być może,  
Lecz ten niczem, dopóki nie przemówi zmarły.  
Prorok wiedźmie Endoru dał z grobu odpowiedź,  
Mocarz Sparty wymusił na niesennym duchu  
Bizantyńskiej dziewicy odpowiedź i wyrok.  
Nie wiedząc kogo zglądza, zabił tę co kochał  
I zmarł bez przebaczenia — a chociaż Jowisza  
Wezwał w pomoc i kazał sławnym Fingalii  
Czarnoksiężnikom zakląć jój cień oburzony,  
By gniew złożył, lub zemście swojej kres naznaczył,  
Dwuznaczną dał odpowiedź i wyrok się spełnił.  
Gdybym nie był żył nigdy, to com kochał tyle,  
Żyłoby dotąd jeszcze — gdybym nie był kochał  
To com kochał, aż dotąd żyłoby tak piękne,  
Szczęśliwiące, szczęśliwe. A czémże jest teraz?  
Czém jest? — za zbrodnie moje ofiarą cierpiącą  
Czemiś, o czém pomyśleć się lękam — lub niczém.  
W kilka godzin nie próżno zapytam się o to,  
Ale teraz drzę przed tém, na co się odważam.  
Dotąd się nie lękałem nigdy ujrzeć ducha

Ni dobrego, ni złego. Teraz drzę i czuję  
Jakaś dziwną i zimną na mém sercu rosę.  
Lecz mogę spełnić — nawet i to co wstręt budzi,  
Przemódz bojaźń człowieczą. — Czarna noc się zbliża.

### SCENA III.

*Szczyt góry Jungfrau.*

PIERWSZE PRZEZNACZENIE  
*wchodzi.*

Księżyc zwolna się wznosi wielkim, jasnym kręgiem.  
Tu na tych czystych śniegach, nieskalanych nigdy  
Gminną stopą człowieka, krążymy po nocach,  
I stąpamy bez śladu. Na tém dzikiém morzu,  
Kryształnym oceanie piętrzących się lodów,  
Lekko po jego ostrych snujemy się łomach,  
Co się zdają, jak burzy rozszalałej pjana  
Umarzła w jednej chwili — sam wir skamieniały.  
Ten tak stromy, dziwaczny gmach skały — ten ziemi

Trzęsieniem wyrzeźbiony ogrom, na którego  
 Szczycie lotem znużony wypoczywa obłok,  
 Poświęcony jest naszym i godom i pracom.  
 Tutaj czekam na siostry, tu na drodze naszój  
 Do gmachu Arimana, gdzie téj nocy dla nas  
 Tak wielka uroczystość. — Dziwno, że ich nie ma.

*(Głos zewnątrz śpiewający.)*

Podbijacz świata pojmany  
 Runął z szczytu swój wielkości  
 I samotny, zapomniany  
 W podlój gnuśniał bezczynności;  
 Lecz na głos mój się ocucił  
 Podłę, ciężkie jarzmo zrzucił,  
 Został licznych szyków panem  
 I na nowo jest tyranem.

Odplaci on mi hojnie zgubą państwa, tronu,  
 Swą rozpaczą, ucieczką i krwią milionu.

*(Drugi głos zewnątrz.)*

Szybko okręt potężny morskie pruł głębiny,  
 Skruszyłałam wszystkie maszty, potargała liny,

Cały pokład strzaskała — nikt się nie ocalił,  
Żaden nędznik, któryby na swój los się żalił.  
Jeden tylko zbyt godny trosk moich, nie zginął,  
Trzymałam go na włosie i brzegu dopłynął,  
Rozbijał on na morzu a zdradzał na ziemi;  
Niech żyje i zbrodniami cieszy mię dalszemi.

## PIERWSZE PRZEZNACZENIE

*odpowiadając.*

Rozległe miasto uspione,  
Zbliża się ranek powoli  
I przez łzawą mgły zasłone  
Wielkiej przygląda niedoli.  
Ciężko, jak chmura ciężarna,  
Przepełnęła dżuma czarna  
I już tysiąc trupów leży.  
Dziesięć tysięcy tak padnie  
I srogość serca owładnie  
Syn ojca, matki odbieży.  
Lecz i on się nie uchroni,  
Z niewidzialnej legnie dłoni.

Boleść — przestrach — rozpacz zbladła,  
 Z morem na lud cały padła.  
 Szczęśliwi ci, co umarli,  
 Co oczy swoje zawarli  
 Przed tym tak rozległym zgonem,  
 Dziełem wśród jednej nocy dopelnioném.  
 Dzieło to mego czynu — trupów naród cały  
 Widziały wszystkie wieki i będą widziały!

*(Wchodzi drugie i trzecie przeznaczenie.)*

WSZYSTKIE TRZY.

W naszym są ręku serca śmiertelników,  
 Gdzie stąpniem grób się roztwiera,  
 Moc nasza darzy — lecz w zamian odbiera  
 Dusze swoich niewolników.

PIERWSZE PRZEZNACZENIE.

Witajcie! gdzie Nemezis?

DRUGIE PRZEZNACZENIE.

Jakieś wielkie dzieło  
 Zatrudnia ją — lecz czasu pytać się nie miałam.

## TRZECIE PRZEZNACZENIE.

Patrzcie — oto przybywa.

*(Nemexis wchodzi.)*

## PIERWSZE PRZEZNACZENIE.

Gdzieżeś była? powiedz.

Równie jak siostry moje zbyt późno przybywasz.

## NEMEXIS.

Musiałam potrzaskane ponaprawiać trony,  
Żenić głupich, zrzucone dynastye wznosić,  
Za ludzi na ich wrogach dokonywać zemsty  
I znów że się pomścili, żal w ich sercu wzniecać,  
Mędrców pędzić do szału, a głupich przetwarzać  
W wyrocznie nowych rządów, by świat gniesć na nowo.  
Ludzie bowiem już czas swój przerośli oddawna  
I śmiało wartość swoją rozważać zaczęli;  
Ośmielili się nawet królów kłaść na szalę,  
Wynosić, wielbić wolność — owoc zakazany.  
Dalej! — przeszła godzina — wstępujmy na chmury!

**SCENA IV.**

*Sala Arimana. Ariman na tronie, kuli ognistój,  
otoczonėj duchami.*

## HYMN DUCHÓW.

Chwała mistrzowi! chwała panu świata!  
 On morza, ziemię i chmury przelata,  
 Dłoń jego berłem żywiołów władająca,  
 Mięsza je, klóci, w wir zamętu wtrąca.  
 Odetchnie — morskie warzą się przestrzenie,  
 Ozwie się — chmura grzmiotem odpowiada,  
 Spojrzy — słoneczne pierzechają promienie,  
 Stąpnie — grzmi ziemia i świat się zapada.  
 Pod jego stopą rodzą się wolkany,  
 Cień jego dzumą — idzie przez kometę,  
 Na gorejącém niebie poprzedzany.  
 Gniew jego w popiół zamienia planetę.  
 Wojna doń codzien z krwawym holdem bieży,  
 Śmierć płaci haracz. — Doń to wszelkie życie

Z nieskończonością swych zgonów należy,  
I sam duch jego w każdym działa bycie!

*(Wchodzi Przeznaczenia i Nemezis.)*

PIERWSZE PRZEZNACZENIE.

Chwała Arimanowi! władza jego rośnie,  
Spełniły jego rozkaz moje siostry obie,  
I jam nie zaniedbała powinności mojej.

DRUGIE PRZEZNACZENIE.

Chwała Arimanowi! My, co ludzkie karki  
Na hold dla nas zginamy, przed nim gniemy nasze.

TRZECIE PRZEZNACZENIE.

Cześć! cześć ci Arimanie. Czekamy skinienia.

NEMEZIS.

Mocarzu wszystkich władzców! — do ciebie należym,  
A wszystko, co żyjące, mniej więcej jest naszym,  
Najczęściej przecież wszystko. Silimy się spolem  
Zwiększaniem naszej władzy twoją moc powiększać.  
Ciągłego trzeba trudu, lecz jesteśmy czujne.  
Rozkaz twój co do słowa spełniony.

*(Wchodzi Manfred.)*

JEDEN Z DUCHÓW.

Któż to wszedł?

Śmiertelnik! Najzuchwalszy, najnędzniejszy prochu  
Uklęknij i cześć składaj.

DUCH DRUGI.

Znam go. Czarnoksiężnik.

Potęga jego wielką, a sztuka straszliwą.

DUCH TRZECI.

Klęknij, złóż cześć służalcze! czyż nie znasz mocarza  
Tak twego jak naszego. Drżij i pełnij rozkaz.

WSZYSTKIE DUCHY.

Rzuć się na ziemię — rzuć się potępioném ciałem  
Płodzie ziemi! — lub kary najstraszliwszej doznasz.

MANFRED.

Znam ją — przecież nie klęknę.

DUCH CZWARTY.

Doznasz jęj w tęg chwili.

MANFRED.

Jużem — jużem jęj doznał. — Ileż ja się nocy  
Na ziemi — gołęg ziemi moją kładłem twarzą,

Na włosy sypiąc popiół! — Już ja wyczerpałem  
 Całą nizkość pokory — bom upadł przed moją  
 Nadaremną rozpaczą, bom ukląkł przed własném  
 Dziełem mojej zatury.

DUCH PIĄTY.

Co! tybys mistrzowi  
 Siedzacemu na tronie śmiał odmawiać tego,  
 Co cała składa ziemia — jakto? czy nie widzisz  
 Tęj grozy jego chwały. Ugnij się natychmiast.

MANFRED.

Niech on się ugnie przed Tym, co nad nim panuje,  
 Wszechmocnym — Nieskończonym — Twórcą, co go  
 stworzył  
 Nie na to, abym czcił go. Niech przed Nim uklęknie,  
 A będziem klęczyc razem.

DUCHY.

Rozdepcie robaka!  
 Rozszarpajcie go na śmierć.

PIERWSZE PRZEZNACZENIE.

Precz! precz! on jest moim.  
 Królu władz niewidzialnych! śmiertelnik ten nie jest

Z rządu pospolitego, jak to świadczy postać  
I przyjsie jego tutaj. Bolesć jego była  
Nieśmiertelnej natury, podobna do naszej.  
Jego wiedza, moc, wola, o ile to może  
Pogodzić się z ziemskością, która więzi w sobie  
Eteryzną duchowość, były tak potężne,  
Iż ziemia rzadko kiedy co równego dźwiga.  
Popęd ducha wysoko uniósł go nad ludzi  
I to mu tylko odkrył, co my z wieków wiemy,  
Że wiedza nie jest szczęściem, lecz tylko przemianą  
Jednej niewiadomości w niewiadomość inną.  
Namiętności do tego, ten dział nieba, ziemi,  
Od których żadna władza i żadna istota,  
Oddech nawet robaczka wolnym tu nie bywa,  
Zatrzęsły jego sercem — i ztąd stał się takim,  
Iż ja nawet, co nie znam litości, przebaczam  
Litującym się nad nim. On do mnie należy,  
Może być że do ciebie — lecz czy tak jest, czy nie,  
Z wszystkich duchów tej sfery, żaden tutaj nie ma  
Podobnej jemu duszy, ni też władzy nad nią.

NEMEZIS.

Pocóż więc tutaj przybył?

PIERWSZE PRZEZNACZENIE.

Rozkaż, niech odpowie.

MANFRED.

Wiecie, o czém wiedziałem, że bez silnej władzy  
Nie mógłbym wśród was stanąć. Lecz są jeszcze inne  
Wyższe, silniejsze władze, — do tych ja przychodzę,  
By mi dały odpowiedź na to, czego szukam.

NEMEZIS.

Czegoż żądasz?

MANFRED.

Nie ty mi odpowiedzieć możesz,  
Wywołaj zmarłych — zmarłych tylko pytać mogę.

NEMEZIS.

Czyż wielki Arymanie skłaniasz się do życzeń  
Smiertelnika?

ARIMAN.

Tak, — skłaniam.

NEMEZIS.

Któż ma stanąć duchem?

MANFRED.

Ta, co dotąd bez grobu — wywołaj Astarte.

NEMEZIS.

Jaką bądź jesteś istotnością  
 I pod jakim bądź imieniem  
 Czyliś duchem, czyli cieniem  
 Czy cząstkami, czy całością  
 Tęj postaci — kształtu — ciała,  
 Z któremiś świat ten ujrzała  
 A co wróciły do ziemi,  
 Staw się przed oczy naszymi.  
 Przybierz dawne kształty swoje,  
 Niech się wszystko w tobie wznowi;  
 Serce — postać — piękność twoję,  
 Wydrzyj grobów robakowi.

Jaw się! jaw! jaw!

I przed tym, co cię zgladził, znów się z grobu staw!

*(Wznosi się widmo Astarty i stawia w pośrodku.)*

MANFRED.

I toż to ma być śmiercią? — Kwiat życia na licach;  
 Ale nie — nie żyjąca to barwa — lecz dziwna  
 Jakby w febrze suchotnej — fałszywa czerwoność,  
 Jaką jesień powleka umarłe już liście.  
 Ona to! ona. — Boże, jaż to z dreszczem trwogi  
 Patrę na nią, tę samą. — Astarte! — Ale nie  
 Nie mogę do niej mówić, wy jej mówić każcie.  
 O przebacz mi, lub potęp.

NEMEZIS.

Przez moc co z grobów ciemnoty  
 Swém cię zakłęciem wyrwała,  
 Przemów tu do téj istoty  
 Lub do mnie, com cię wezwała.

MANFRED.

Słowa nie przemawia.  
 Milczenie to jest sroższém nad wszelką odpowiedź.

NEMEZIS.

Tu jest kres mojej władzy. Mocarzu powietrza,  
 Twojej ja mocy zdaję, rozkaż jej przemówić.

ARIMAN.

Duchu! bądź mi posłusznym.

NEMEZIS.

Jeszcze, jeszcze milczy.

Nie jest z naszego rzędu, w innych władz jest mocy.

Śmiertelniku! daremném jest twoje żądanie.

Z wstydem musim odstąpić.

MANFRED.

O słuchaj mię — słuchaj

Astarte! życie moje! — racz do mnie się ozwać.

Tylem, tylem wycierpiał, tyle jeszcze cierpię.

Patrz na mnie! sam grób nawet nie zmienił cię tyle

Jak mnie żal mój za tobą. Nadtośmy nawzajem

Kochali się. — Nie na to byliśmy stworzeni,

By się tak dręczyć wzajem — chociaż najczarniejszą

Zbrodnią było tak kochać, jak my się kochali.

O powiedz, powiedz tylko, że się mną nie brzydzisz,

Że ja sam całą karę za nas obu znoszę,

Że ty będziesz zbawioną — i że wreszcie umrę.

Gdyż tu wszystko najsroźsze na to się sprzysięgło,

By mię przykuć do życia — życia! które mi tu  
Obrzydza nieśmiertelność — przyszłość mi podobną  
Przeszłości zapowiada. — Nie znam co jest pokój.  
Nie wiem czego wymagam, nie wiem czego szukam.  
Czuję tylko czém jesteś — i czém ja tu jestem.  
Chciałbym jeszcze przed śmiercią choć raz głos twój  
słyszeć

Niegdyś duszy muzykę. Przemów, przemów do mnie!  
W czystych, pogodnych nocach wołałem na ciebie,  
Płoszyłem śpiące ptaki po ich cichych krzewach,  
Wilki w górach budziłem — czarnych pieczar echa  
Oznałem z twém imieniem — daremnie wołałem.  
Głazy dały odpowiedź — tysiąc rzeczy dało —  
Duchy — ludzie ją dali — tyś sama milczała.  
O przemów! — samem gwiazdy przechodził w czuwaniu,  
Na niebom próżno patrzył, szukając tam ciebie,  
Całą ziemię przebiegłem, a nigdzie nie znalazł  
Podobnej nawet tobie. Przemów, przemów, błagam;  
Spojrzyj na te złe duchy, — widzisz, czują ze mną,  
Nie trwożą mię, bo ciebie czują tu jedynie.

O przemów choćby w gniewie — byleś przemówiła,  
Potęp, przeklnij, lecz niech cię raz jeszcze usłyszę,  
Raz jeszcze — raz jedyny.

WIDMO ASTARTY.

Manfredzie!

MANFRED.

O mów, mów.

Cały żyję w jój głosie — jój to, jój głos słyszę!

WIDMO.

Manfredzie! — Jutro ziemskie zakończysz cierpienia.  
Żegnam cię.

MANFRED.

Słowo jeszcze! — czyś mi przebaczyła?

WIDMO.

Żegnam cię.

MANFRED.

Czy się kiedyś tam złączym?

WIDMO.

Żegnam cię.

MANFRED.

Jedno słowo przez litość! — czy mię kochasz jeszcze?

WIDMO.

Manfredzie!

*(Duch Astarty znika.)*

NEMEZIS.

Znikła i już nie da się odwołać.  
Spełni się co wyrzekła. Powracaj do ziemi.

JEDEN Z DUCHÓW.

Boleść nim ciska, szarpie — takto zawsze bywa,  
Ileć chce śmiertelnik w nadśmiertelność sięgać.

INNY DUCH.

Jednakże, patrzcie, patrzcie, jak się sam przemaga,  
Jak boleść wolą gromi. Gdyby się był zrodził  
Jednym z nas, byłby duchem potężnym, straszliwym.

NEMEZIS.

Czyż wielkiego mocarza lub jego czcieli  
Masz jeszcze o co błagać?

MANFRED.

Nie mam.

NEMEZIS.

Więc żegnam cię

Do czasu.

MANFRED.

Spotkam cię więc jeszcze. — Gdzie?... Na ziemi?  
Jak chcesz. — Za łaskę, której doznałem od ciebie,  
Odhodzę twym dłużnikiem. Żegnam cię nawzajem.

*(Manfred wychodzi. Scena się zamyka.)*

Koniec aktu drugiego.

---

## AKT III.

### SCENA I.

*Sala w zamku Manfreda.*

---

MANFRED.

Która godzina?

HERMAN.

Jednej jeszcze braknie hrabio  
Do zajścia słońca. Zda się, że piękny mieć będziem  
Zachód.

MANFRED.

Czyli tak wszystko przyrzadziłeś w wieży  
Jakem rozkazał?

MANFRED.

Wszystko. Przynoszę ci panie  
Klucz i skrzyneczkę.

MANFRED.

Dobrze. Możesz się oddalić.

*(Herman wychodzi.)*

MANFRED *sam.*

Jakiż pokój w mój duszy — niepojęta cisza.  
 Nigdy podobnej jeszcze nie doznałem w życiu.  
 Gdybym nie wiedział dobrze, że filozofia  
 Z wszystkich naszych bawideł najgłępszą jest fraszką,  
 Najpróżniejszym wyrazem szkolnej gadaniny,  
 Słuch nasz tylko zwodzającym, mniemałbym, że znalazł  
 Tę złotą tajemnicę, to szukane — Kalon  
 I tam w duszy je złożył. — Wkrótce stan ten minie;  
 Lecz dobrze choć raz w życiu takiej doznać ciszy.  
 O jedno czucie moję rozszerzyła duszę.  
 Zapiszę w moich księgach, że takie uczucie  
 Istnieje tu istotnie. Kto tam wchodzi?

HERMAN *wracając.*

Opat

Z świętego Maurycego klasztoru przybyły  
 Prosi hrabi o przystęp.

OPAT *wchodzi.*

Pokój z tobą hrabio!

MANFRED.

Dzięki ci święty ojcze. Witam cię w tym zamku.  
Twoje przyjście i chlubę i szczęście przynosi  
Mieszkańcom tego gmachu.

OPAT.

O gdybyć tak było!

Lecz hrabio! chciałbym z tobą sam na sam pomówić.

MANFRED.

Hermanie, odejdz. Cóż mi zacny gość przynosi?

OPAT.

Niechcę cię nudzić wstępem. Mój wiek, stan, powinność,  
Dobra chęć wreszcie, śmiałość uniewinnia moje.  
Nakoniec jak sąsiada, choć ci nieznanego,  
Racz mię słuchać łaskawie. — Szczególne odgłosy  
Bezbożnej nawet treści szerzą się w około.  
Brznią one twém imieniem, imieniem tak świetném  
Od tylu wieków. Oby ten, co się niém zdobi,  
Przekazał je bez skazy.

MANFRED.

Cóż dalej? mów, słucham.

OPAT.

Mówią, że zwykłeś w takich zagłębiać się rzeczach  
 Których tu człowiekowi śledzić zakazano,  
 Że z mieszkańcami ciemnic odwiecznych się wdajesz,  
 Że obcujesz tu z mnóstwem duchów złych, wyklętych,  
 Które w głębiach podziemnych, w cieniu śmierci krążą.  
 Wiem, że z ludźmi, bliźniami twemi, rzadko bardzo  
 Myśli twoje zamieniasz, że samotność twoja  
 Jest pustelniczą — oby w świętą się zmieniła!

MANFRED.

I któż są ci, co takie rozsiewają wieści?

OPAT.

Moi bracia klasztorni — strwożone wieśniaki,  
 Lenniki nawet twoje. Niespokojném, groźném  
 Okiem patrzą na ciebie. — Niepewnyś jest życia.

MANFRED.

Odbierz je.

OPAT.

Ja ocalić, nie gubić przychodzę.

Nie chcę śledzić, nurtować po głębiach twój duszy,  
Lecz jeżeli to jest prawdą, jeszcze czas jest hrabio,  
Do model i pokuty. Zgódź się, złącz na nowo  
Z prawowiernym kościołem, a przez kościół z niebem.

MANFRED.

Sluchałem, odpowiadam. Czém jestem, czém byłem,  
Sprawa ta pozostanie między mną i Bogiem.  
Nigdy za pośrednika nie wezmę człowieka.  
Jeżelim wasze prawa zgwałcił — dowiedz — ukarz.

OPAT.

Nie o karze ja mówię, lecz o przebaczeniu,  
O pokucie, mój synu. Tyś sam winien obrać  
Tę drogę już ostatnią. Wówczas kościół, wiara,  
Dozwolą mi ułatwić ci drogę od grzechu  
Do niebieskich nadziei i do lepszych myśli.  
Pierwszą niebu zostawiam. Bóg to, Bóg powiedział:  
„Do mnie zemsta należy“. — Z drżeniem i pokorą  
Sługa Jego powtarza to straszliwe słowo.

MANFRED.

Starcze, nie ma téj mocy żaden człowiek święty —

Niczym są modły — skrucha czyszcząca — wzrok, postać  
 Pokory — niczym post — śmierć — sroższe nawet od nich  
 Te wrodzone męczarnie trawiącej rozpaczy,  
 Które są jak zgryzoty, choć bez trwogi piekła,  
 A przecież dostateczne, aby samo niebo  
 W piekło zamienić. Nie, nie, wszystko to nie zdoła  
 Żywego czucia grzechu z wolnej wydrzeć duszy,  
 Ni zbrodni, ni boleści — ni zemsty nad sobą.  
 Żadna przeszłość takiego, co się sam potępia,  
 Nie ukarze tak silnie, jak on własną duszę.

OPAT.

Wszystko to dobrze. Minie to bowiem, a błoga  
 Przyjdzie nadzieja, która z spokojną ufnością  
 Spojrzy na kraj zbawienia. Kto go szuka, znajdzie,  
 Jakiegokolwiek być mogą jego ziemskie błędy,  
 Byle żalem zmazane. Czuć potrzebę skruchy,  
 Już jest skruchy początkiem. Przemów, a w czem kościół  
 Może tylko oświecić, oświeci cię pewnie  
 I co może przebaczyć, przebaczonem będzie.

MANFRED.

Gdy szósty cesarz Rzymu blizkim już był zgonu,  
 Sam sobie miecz wraziwszy dla ujścia sromoty  
 Śmierci publicznej, którą ten sam senat wyrzekł,  
 Co przed nim dotąd pełzał, — przyszedł pewien żołnierz  
 I z przychylną litością chciał przysłużnym płaszczem  
 Krew mu wstrzymać z rozdartej buchającą rany.  
 Konający Rzymianin, przecież i w gasnącém  
 Spojrzeniu cesarz jeszcze, odepchnął go i rzekł:  
 Zapóźno! — toż to wierność?

OPAT.

Do czegoż to ściągasz?

MANFRED.

Odpowiadam z cesarzem — zapóźno!

OPAT.

Nie — nigdy

Zapóźno do zgodzenia się z duszą, zgodzenia  
 Duszy z niebem. Czy nie masz nadziei? Rzecz dziwna!  
 Ci nawet, którzy w górne nie wierzą nadzieje,  
 Tworzą tu sobie marę i jakby tonący  
 Tęj wątlęj się i łomnej chwytają gałązki.

MANFRED.

Ach ojcie! miałem kiedyś, miałem te sny ziemskie,  
Wrzałem niegdyś szlachetnym młodości popędem,  
Chciałem sobie przywłaszczyć ducha drugich ludzi,  
Zostać słońcem narodów — i wzbić się wysoko,  
I lecieć — lecieć — choćby na to, aby runąć,  
Lecz runąć jak te szczytne w górach katarakty  
Które z grzmotem z obłocznój buchnąwszy wyżyny  
I lecąc w sam war głębi, leżą tam w przepaści,  
Leżą — ale potężne. — Lecz już to minęło.  
Wszystkie się moje myśli zawiodły na sobie.

OPAT.

Jak to?

MANFRED.

Nie mogłem mojej zwyciężyć natury.  
Kto chce panować, musi służyć, schlebiać, pełzać,  
W każdej chwili być czujnym, wciąż śledzić, podzierać,  
Żywem kłamstwem być musi, kto chce być najwyższym  
Pomiędzy nizecznymi — a taką jest massa.  
Niechęć się mięszać z trzodą, chociażbym miał zostać

Jój przywódcą — przywódcą nawet wilków trzody.  
Lew jest samotnym, takim i ja jestem.

OPAT.

Ale

Czemu nie żyć w wspólności, nie działać z drugimi?

MANFRED.

Cała moja natura życiu sprzeczną była.  
Nie byłem przecież srogim, nie chciałem być twórcą  
Zniszczenia — ale chciałem je znaleźć — jak ten wiatr,  
Ten gorący, płomienny oddech samotnego  
Simum, ten syn pustyni, co przez martwe piaski  
Wieżąc — piaski bez krzewu, — huczy i szaleje  
Po ich dzikich i suchych wałach — i nikogo  
Nie szuka, byle nie był szukanym, gdyż wówczas  
W spotkaniu tém zabójczy. Takim był bieg mego  
Żywota. Inne rzeczy stanęły mi później  
Na drodze, ale już ich nie ma.

OPAT.

O Boże mój!

Zaczynam się obawiać czyli pomoc moja

Nie będzie już zapóźną — a przecież tak młody.  
Chciałbym ci . . . .

MANFRED.

Spojrzyj na mnie. Jest tu rodzaj ludzi,  
Co w młodości starzeje i kwitnąc umiera,  
Choć nie gwałtowną śmiercią wojny. Jednych rozkosz  
Zabija — drugich praca — nauka — znużenie —  
Ci giną z chorób ciała, tamci z chorób duszy,  
Innych zwiędłe, złamane zabijają serca.  
Tą ostatnią chorobą, co tak różne bierze  
Postaci i nazwiska, stokroć więcej ginie  
Niżli los ich na swojej nakrył tablicy.  
Spojrzyj na mnie — jam wszystkie te choroby, wszystkie  
Przecierpiał — gdy dość jednej było. Nie dziw się więc  
Że tém jestem, czém jestem, lecz że kiedyś byłem  
I że takim tu będąc, jeszcze jest na ziemi.

OPAT.

Słuchaj mię przecież . . . .

MANFRED.

Starcze! szanuję twe lata,

Stan twój. — Wierzę, że zamiar przywiódł cię tu święty,  
 Lecz próżno. Nie bierz tego za skutek dzikości.  
 Więcej tobie niż sobie przykrości oszczędzam,  
 Unikając rozmowy. A więc — żegnam ciebie.

*(Manfred wychodzi.)*

OPAT.

Jakby szlachetną mógł być istotą! — Ileż w nim  
 Siły do wykształcenia pięknego obrazu  
 Z tylu świetnych żywiołów, zgodzonych roztropnie!  
 Teraz zamęt straszliwy — i światło — i ciemność  
 Duch — błoto — czyste myśli — brudne namiętności  
 Pomieszane bez ładu i w walce bez końca,  
 Śpiące lub też burzące. Zgubi się, a przecież  
 Nie powinien się zgubić. Raz jeszcze spróbujmy.  
 Tacy godni ratunku. Powinność mi każe  
 Na wszystko się odważyć dla dobrego skutku.  
 Pójdźmy za nim. Ostrożnie, przecież stale, mężnie.

*(Wychodzi.)*

**SCENA II.***Inny pokój.*

MANFRED I HERMAN.

HERMAN.

Hrabio, przyjsć mi kazałeś przed słońca zachodem,  
Teraz właśnie za góry ma zapaść.

MANFRED.

Czy tak jest?

Pójdę mu się przypatrzeć.

*(Przystępuje do okna.)*

Promienisty kręgu!

Bóstwo młodej natury — synów tych olbrzymów,  
Których miłość aniołów spłodziła z córami  
Śmiertelnych — piękniejszymi nad te uwiedzione  
Duchy, które ku ziemi ściągnęły niezwrotnie.  
Świetny, przepyszny kręgu! — tyś był jak Bóg czczony,  
Nim na jaw tajemnica stworzenia cię wyszła.  
Ty najranniejszy sługo Wszemmocnego. Ty coś

Na ich górach, chaldejskich zachwycał pasterzy,  
Póki dusz całych w modły nie wylali. — Widny,  
Materyalny Boże! — obrazie — i cieniu  
Nieznanego — ty celna gwiazdo — ty środkowy  
Punkcie światów, co ziemię tę nam znośną czynisz,  
Który rządysz barwami i sercami wszystkich,  
Co w twojem żyją świetle. Królu por! Monarcho  
Wszystkich sfer i mieszkańców! Gdziekolwiek tu żyjem,  
Wszędzie duch nasz wewnętrzny równie jak twarz nasza  
Twą się barwą powleka. Wschodzisz — świecisz —  
spadasz,  
Zawsze w całej twój chwale. Żegnam cię o słońce!  
Już cię nigdy nie ujrzę. Pierwsze me spojrzenie  
Miłości i zdziwienia było tu dla ciebie,  
Przyjmij i to ostatnie. Nigdy już nie będziesz  
Przyświecać tu istocie, dla której dar życia  
Sroższém byłby nieszczęściem. — Zaszło. Pójdźmy  
za niem.

(*Odchodzi.*)

**SCENA III.**

*Góry. W niejakićj odległości zamek Manfreda. Taras przed wieżą. Zorza wieczorna.*

HERMAN, MANUEL I INNI DOMOWNICY MANFREDA.

HERMAN.

Dziwna rzecz! od lat tylu, noc w noc i tak długo  
Czuwający przesiedział w tćj wieży, sam jeden.  
Byłem tam nieraz wewnątrz jak i wy byliście,  
A jednakże z wszystkiego cośmy tam widzieli,  
Niepodobna wysłédzić czćm się tak mozoli.  
To wiem, że jest tam pokój, w którym nikt nie postał,  
I chćtnie z trzech lat moich ustąpiłbym zasług,  
Gdybym tylko mógł jego dociec tajemnicy.

MANUEL.

Byłoby niebezpiecznie. Przestań na tćm, co wiesz.

HERMAN.

Manuelu, tyś mćdrszy i starszy, ty mógłbyś  
Wiele wyjawić. Wszakże mieszkałeś w tym zamku,  
Ileż lat temu?

MANUEL.

Jeszcze hrabia Manfred nie żył,  
Gdym służył ojcu. Syn mu w niczem niepodobny.

HERMAN.

O iluż synach można to samo powiedzieć.  
Lecz w czémże się tak różnią?

MANUEL.

Nie mówię o rysach,  
Ni o postaci, lecz o umyśle, zwyczajach.  
Hrabia Zygmunt był dumnym, lecz wesołym, wolnym,  
Lubił wojny, hulanki, nie ślęczał nad książką,  
Nie krył się w samotności, nie trwonił swych nocny  
Na posępném czuwaniu. Całą noc ucztował  
Głośniej nawet niż we dnie, nie błądził po lasach,  
Skalach, jakby wilk jaki, nie stronił od ludzi,  
Ni od ludzkiej zabawy.

HERMAN.

Niech je licho bierze!  
Piękneż to były czasy. O gdybyć na nowo  
Powróciły do zamku — lecz on tak wygląda  
Jakby o nich zapomniał.

MANUEL.

Zamek ten musiałby  
Wprzódę pana odmienić. Dziwneż ja to, dziwne  
Rzeczy tutaj widziałem.

HERMAN.

Daj się, daj uprosić,  
Opowiadaj, a łatwiej sen spędzimy z oczu.  
Napomykałeś dawniej o pewnym zdarzeniu,  
Które tu przy tej wieży miało stać się niegdyś.

MANUEL.

Noc to była okropna. Pamiętam ją dobrze.  
Szary mrok świat ociemnił, właśnie jakby teraz,  
I taki sam był wieczór. Ten czerwony obłok  
Co wisi nad Eigerem, i wtenczas tak wisiał  
Zupełnie jakby ten sam. Zerwał się wiatr nocny,  
Lecz łagodnie powiewał. Księżyc z chmur wyblysnął  
I po wszystkich się górach roziskrzyły śniegi.  
Hrabia Manfred jak teraz był tam w swojej wieży,  
Lecz nie wiemy co robił. Była tam zarazem  
Jedyna towarzyszką jego nocnych czuwań



I odludnych pielgrzymek, ta, którą ze wszystkich  
Istót téj ziemi zdawał się kochać jedynie,  
A którój sam krwi związek już mu kochać wzbraniał,  
Astarte — jego własna..... Ciszéj! ktoś nadchodzi.

(*Wchodzi opat klasztoru.*)

OPAT.

Gdzież jest pan wasz?

HERMAN.

Tam w wieży.

OPAT.

Muszę z nim pomówić.

MANUEL.

Nie można. Sam jest tylko. Nikogo wprowadzać  
Nie wolno.

OPAT.

Sam odpowiem za winę, jeżeli  
Jest to winą, lecz muszę widzieć go koniecznie.

HERMAN.

Wszakżeś panie już tego widział go wieczora.

OPAT.

Hermanie, rozkazuję. Zastukaj i powiedz  
Hrabiemu, że tu jestem.

HERMAN.

Nie śmiém.

OPAT.

A więc muszę

Sam wniknąć bez opowiedzi.

HERMAN.

Stój! ojeze wielebny,

Zatrzymaj się na chwilę.

OPAT.

Czemu?

HERMAN.

Pójdź tu wprzódy,

Pójdź za mną, a o wszystkim dowiesz się odemnie.

**SCENA IV.***Wnętrz wieży.*MANFRED *sam.*

Gwiazdy w całej świetności. Księżyc nad szczytami  
Gór śnieżno-jasných. O jak pięknie! Dotąd jeszcze  
Tak mi błogo z naturą. Mnie znajomszém było  
Ciemne nocy oblicze niżli twarz człowieka.  
Jam w jej cieniu gwiazdzistym, w jej mrocznej, samotnej  
Swobodzie, wyuczył się tajemniczej mowy  
Świata innego. Pomnę, jak w młodości mojej,  
Kiedym był na podrózach, — w takiej właśnie nocy  
Stałem wpośród potężnych Kolizeum murów,  
Celnych, świętych ostatków wszechmocnego Rzymu —  
Drzewa co wzdłuż złamanych rozrosły się luków  
Ciemno się kołysały w błękitnej północy:  
Przez szczeliny rozwalin przeglądały gwiazdy.  
Strzegący pies zdaleka z po za Tybru szczekał, —  
Bliżej z gmachów Cezara słuchać było długie  
Sów krzyki i czasami pieśń odległej czaty

Ozwała się i w wiatru skonała powiewie.  
Kilka cyprysów po za staremi rozłomy,  
Chociaż na strzał odległych — zdało się widnokrag  
Oczu mych ograniczać. Gdzie niegdyś Cezary  
Przebywały, a teraz nocne huczą ptaki,  
Wyrosł gaj wśród rozwalin tych upadłych gmachów  
I w gruzach się cesarskich rozkorzenił ognisk.  
Stoi dotąd skrwawiony cyrk gladyatora,  
Stoi ten szczyt szlachetny — arcydzieło ruin!  
Gdy komnaty Cezara, Augusta podwoje,  
Zaledwie już widzialnym gruzem ścielą ziemię.  
Ty ciągle się toczący księżycu, tyś wszystko  
Oświecał, a rozległy i smętny blask lejąc  
Łagodził twardą dzikość straszego zniszczenia,  
I na nowoś zapełniał, jakbyś odbudował  
Potężne wieków wyrwy. Tyś wszystko zostawił  
Co piękném jeszcze było, a co niém nie było,  
Podniósłes do piękności — aż wszystko nabrało  
Świętości religijnój, a z serca się lała  
Cicha cześć dla wielkości mężów starożytnych

Zmarłych lecz berłowładzców — którzy i z urn swoich  
 Panują duchom naszym. — Taką noc ta była.  
 Dziwna rzecz, że w tej chwili przysła mi na pamięć;  
 Lecz stokroć doświadczałem, że właśnie w tej dobie  
 Dzikim pędem myśl nasza ucieka w dalekość,  
 Gdy w porządek rozwagi szykować ją chcemy.

*(Opat wchodzi.)*

OPAT.

Hrabio, przebacz łaskawie powtórnemu przyjściu,  
 Niech cię swoim natręctwem pokorna gorliwość  
 Nie pobudza do gniewu. Jeżeli na złe wyjdzie,  
 Niech to złe spadnie na mnie, dobry tylko skutek  
 Niech spłynie na twą głowę — rzechym wołał, serce.  
 O gdybym je mógł wzruszyć słowy lub modłami,  
 Szlachetną ocaliłbym duszę — obłąkaną  
 Lecz nie zgubioną jeszcze.

MANFRED.

Nie — nie znasz mię, ojcze.  
 Dni moje policzone, zapisane czyny,  
 Precz! lub niebezpieczeństwo czeka cię tutaj. Precz!

OPAT.

Nie chcesz mi przecie grozić?

MANFRED.

Nie — uprzedzam tylko,  
Że blizkim jesteś zguby i chcę cię ratować.

OPAT.

I cóż przez to rozumiesz?

MANFRED.

Spojrzyj tu. Cóż widzisz?

OPAT.

Nic.

MANFRED.

Patrz tylko. Wyteż wzrok. Teraz mów, co widzisz.

OPAT.

To co mrozem przestרחu wstrząsnąć by powinno,  
A przecież mię nie wstrzęśnie. Widzę jakąś postać  
Ciemną, groźną, okropną, wychodzącą z ziemi,  
Podobną bogu piekła; twarz swą płaszczem słoń.  
Cała jak gdyby groźną obwiniona chmurą  
Stoi tu między nami — nie lękam się przecie.

MANFRED.

Nie masz się czego lękać, nic ci nie uczyni.  
Sam jój widok jednakże mógłby lodem śmierci  
Ściąć twoje stare członki. Radzę ci więc, uchódź.

OPAT.

Nigdy, dopóki tego nie przewalczę ducha.  
Po cóż on tu przybywa?

MANFRED.

Tak jest. Po co przybył?  
Nie posłałem po niego — przybył niewzwany.

OPAT.

Zgubiony śmiertelniku! na cóż ci się wdawać  
Z podobnemi istoty. Drzę o ciebie. Czemuż  
Tak na siebie patrzycie? Ach twarz swą odsłania,  
Całe czoło gromami piorunów zorane,  
W oczach jego goreje nieśmiertelność piekła.  
Precz ztąd!

MANFRED.

Mów, po cóż przybył?

DUCH.

Pójdź! pójdź!

OPAT.

Któż ty jesteś

Nieznana istoto? Mów.

DUCH.

Jestem geniuszem

Jego. Pójdź! czas twój przyszedł.

MANFRED.

Na wszystkim jest gotów,

Ale przeczę téj władzy, która mnie przyzywa.

Któż cię przysłał?

DUCH.

Dowiesz się o tém wkrótce. Pójdź! pójdź!

MANFRED.

Rozrządzałem istoty wznioślejszej natury

Niż twoja. Z pany twemi walczyłem. A więc precz!

DUCH.

Śmiertelniku! Przyszedł czas twój. Dalej więc ze mną!

MANFRED.

Wiedziałem ja, że moja dobiega godzina,

Lecz nie na to, bym takim jak ty oddał duszę.

Precz! jakim żyłem, takim i umrę — samotnym.

DUCH.

A więc braci mych przyzwę. Powstańcie!

*(Duchy się ukazują.)*

OPAT.

Precz! precz ztąd!

Duchy piekła, precz mówię! Tam gdzie kościół włada  
Wy jesteście bez mocy. Zarzekam was w Imię .....

DUCH.

Starcze! Znamy moc naszą i rozkaz nam dany,  
Wiemy, żeś kapłan. Nie trwoń świętych słów daremnie,  
Nic one nie pomogą. Człowiek ten zgubiony;  
Raz jeszcze wzywam — pójdź, pójdź!

MANFRED.

Wszystkim wam zaprzeczam

Władzy nademną, a choć czuję że się dusza  
Już oddziela od ciała, zaprzeczam jój przecie:  
Nie ustąpię, dopóki tyle mam oddechu  
Abym mógł na was moje wyzionąć nienawiść,  
A tyle ziemskiej siły, by z duchy walczyła.  
O każdy z moich członków łamać się będziemy.

## DUCH.

Nieprzeparta istoto! tenże to jest z ciebie  
Czarnoksiężnik, co przez świat niewidzialny krocząc  
Chciał się z nami porównać? Któżby to był mniemał,  
Że ty życie tak kochasz, ty, to samo życie  
Źródło twoich niedoli!

## MANFRED.

Kłamiesz zdrajna jędzo!

Wiem, że życia ostatnią już żyję godzinę  
I nie chciałbym o jedną przedłużyć je chwilę.  
Nie przeciw śmierci walczę, ale przeciw tobie  
I tym duchom tu w koło. Nie w skutku układów  
Z tłuszcza twoją nabyłem tej potężnej władzy,  
Lecz przez wyższą naukę, łamanie się z ciałem,  
Śmiałość, nocne czuwania, moc duszy, zgłębianie  
Mądrości dawnych mężów, (kiedy na tej ziemi  
Ludzie i duchy jeszcze przebywały razem,  
A wyście bez przewagi byli). — Ja na własnej  
Stoję tu mocy. Przeczę więc waszój. Szydę z was.  
Odrącam. Gardzę wami!

DUCH.

Twoje mnogie zbrodnie

Uczyniły cię moim.

MANFRED.

A tobie co do nich?

Więc do zbrodni karania innych trzeba zbrodni,  
Zbrodni większych zbrodniarzy? Precz do twego piekła!  
Czuję w duszy, że nad mną żadnej nie masz władzy  
I zbyt dobrze wiem o tém, że mię nie posiędziesz.  
Com spełnił — to spełnione. Noszę ja tu w sobie  
Męczarnią, której twoje zwiększyćby nie mogły.  
Duch jako nieśmiertelny, sam sobie odpłatą  
Tak złych jak dobrych myśli — sam źródłem, sam końcem  
Złego, sam sobie miejscem, sam czasem. Jego zmysł  
Wewnętrzny z śmiertelności wyzwolon, nie wciąga  
W siebie barwy znikomych i zewnętrznych rzeczy.  
Dręczą ducha męczarnie lub też radość poi  
Podług wewnętrznej wartości jaką zna w sobie.  
Nie! nigdyś mię nie kusił i skusić nie mógłś.  
Nie byłem twą igraszką i lupem nie będę.

Sam własnym burzycielem byłem tu dotychczas,  
 Sam nim będę na wieczność. — Precz pobite duchy!  
 Jest na mnie ręka śmierci, lecz nie wasza ręka.

*(Nikną demony.)*

OPAT.

Niestety! jakżeś blady — usta tve zbielały,  
 Pierś się wznosi i oddech tak ciężko pracuje.  
 Głos twój w gardle chrzypiący. Podnieś myśl do Boga,  
 Módl się choćby i w myśli — lecz tak nie umieraj.

MANFRED.

Przeszło. Wzrok mój oémiony już cię nie rozezna  
 I wszystko zda się płynném okrażać mię kołem,  
 Ziemia rośnie podemną. Bądź zdrow. Daj mi rękę.

OPAT.

Zimno, zimno, niestety, już serca dosięga.  
 Jednę tylko modlitwę! — Jakże ci jest, powiedz.

MANFRED.

Widzisz starcze, że nie tak trudno jest umierać.

*(Manfred umiera.)*

OPAT.

Stało się. Skończył. Dusza jego uleciała.

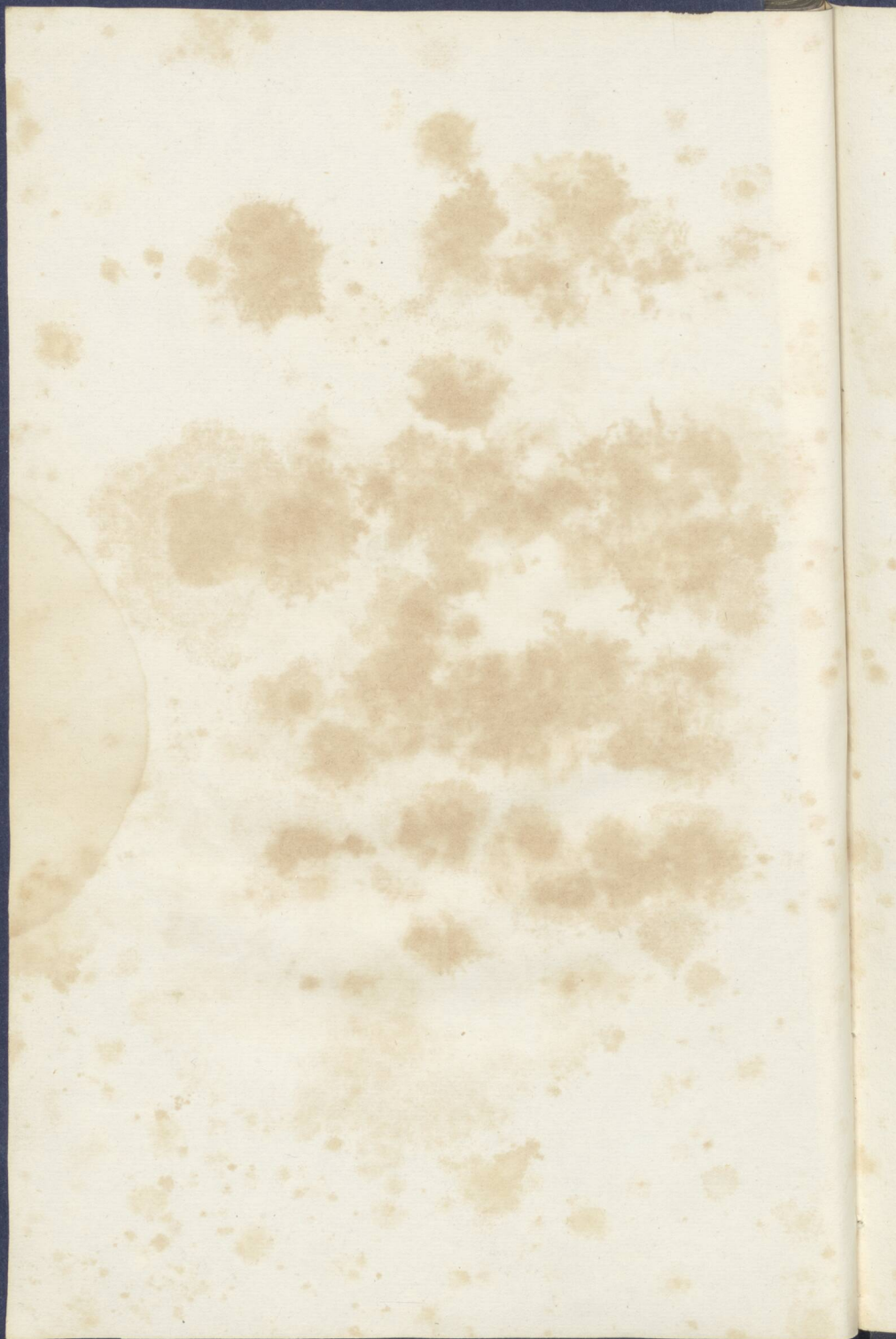
Dokąd? — nie śmiem pomyśleć — lecz już po wszystkiemu.

K O N I E C.



МАЗЕПА

---



## MAZEPPA.

---

Minął był właśnie straszny dzień Pułtawy  
Gdzie od mocarza Szwedów szczęście zbiegło,  
I już do krwawej niezdolne rozprawy  
Szerokim mordem całe wojsko legło.  
Chwała, potęga i laury wojenne  
Czczone przez ludzi i jak ludzie zmienne,  
Przeszły na cara zwyciężkiego stronę  
I mury Moskwy znowu ocalone,  
Aż do dnia, roku krwawszego wspomnienia,  
Gdzie większej mocy, wyższego imienia,

Z całym swym wojskiem i sławą zwyciężką  
Sroższy wróg nagle cięższą runął klęską,  
Cięższym upadem i większym ogromem  
Zgubą dla siebie, a dla wszystkich gromem.

Taka kość padła w grze tej dla Karola;  
Musiał uciekać przez wody, przez pola,  
I dniem i nocą mimo ciężkiej rany,  
Swoją i swego ludu krwią oblany.  
Tysiące padły w ucieczki obronie,  
Nikt przecież nie śmiał w jego sarknąć gronie  
W tej strasznej chwili dumy poniżenia  
Gdzie prawda może ozwać się bez drżenia.  
Koń pod nim poległ — Gieta pędzi, zsiada,  
Daje mu swego i sam trupem pada.  
Koń ten pod królem kilka mil przesunął  
Lecz i on wreszcie z przesilenia runął,  
A Karol w lasach słońcących ogniska  
Co zdala z wrogów tłały koczowiska,

W pośród snujące się podjazdów roje  
Musiał na ziemi złożyć członki swoje.  
O takież łoże, takie wieńce chwały  
Dwa mężne ludy tyle krwi przelały!  
Leżał wśród puszczy, z głową o dąb wspartą,  
Z gasnącém życiem i duszą rozdartą;  
Rany mu skrzepły, a znękanie ciało  
Zimnem mu nocy i bólem stężało.  
Wrzący po żyłach ogień gorączkowy  
Spędzał mu z oczu nawet sen chwilowy;  
Przecież pomimo wszystkie klęski, ciosy,  
Król po królewsku swoje znosił losy,  
I choć pod gromem tak strasznój niedoli  
Wszystkie boleści podbił mocą woli,  
Do tak niemego zmusił je poddaństwa  
Jak niegdys mieczem swym podbite państwa.

---

Orszak z nim wodzów — niestety, jak mało  
Z tej strasznój rzezi przy nim pozostało!

Lecz i w tym szczątku krew rycerska płonie,  
Wre honor, wierność — wszyscy w niemém gronie  
Smutni, posepni i trudem wybledli,  
Króla i jego rumaka obsiedli,  
Bo tam gdzie równa grozi im zatrata  
Człowiek z zwierzęciem łączy się i brata.

W bliskości przy nich spokojny i mężny  
Hetman i równie towarzysz monarszy,  
Zasiadł Mazepa, gdzie stał dąb potężny  
Dąb jak on twardy i mało co starszy.  
Lecz pierwszą jego troską koń zzzajany  
Kozacki hetman oczyszcza go z pjany,  
Mnogi i suchy liść pod nim gromadzi  
Głaszcze po grzywie, bok i krzyże gładzi,  
Zwalnia popręgu i uzdę odkłada  
I rad się patrzy jak mu smacznie zjada;  
Bał on się bowiem, że po takim pędzie  
Zroszonój nocą trawy jeść nie będzie.

Lecz on z nim w wszystkich tak stwardniał wyprawach  
Że nie przebierał ni w leżu ni w strawach;  
Zmysłny, uczony i potulny razem  
Wszystko za danym wypełniał rozkazem,  
Śmiały i silny, długogrzywy, dziarski,  
Tak się dał wodzić jakby koń tatarski.  
Posłuszny panu, przyszedł, gdy zawołał  
I w pośród wszystkich rozpoznać go zdołał.  
On wśród tysiączne koczujące wrogi  
W bezgwiezdnych nocach nie pomylił drogi,  
A jak za matką swoją sarnie małe  
Gotów był za nim latać przez dni całe.

Hetman na ziemi płaszcz swój rozpościera,  
Odkłada szablę, o drzewo opiera,  
Patrzy, czy w skutku tak długiej pogoni  
Jaka część jego nie popsuta broni,  
Czyli z panewki proch mu nie wypada,  
Czy dość sprężysto zamek odpowiada,

Wszystko obziera po Pułtawskim mordzie,  
Temblak, rękojeść i szczyrby na kordzie;  
Wreszcie się do swych juk, manierki bierze,  
Skromną i prostą rozkłada wieszczkę,  
Wszystkich przekąską, napitkiem uracza,  
Co najlepszego królowi przeznacza  
Z mniejszą obawą, niżli w świetnym kole  
Pochlebny dworak przy monarszym stole.  
Karol z uśmiechem i twarzą łaskawą  
Na chwilę skromną posila się strawą;  
Wreszcie w zmuszoną wesolość przybrany  
I jakby wyższy nad boleść i rany  
Tak się odzywa: — Z wszystkich nas zarazem  
Choć mężnych sercem i dzielnych żelazem,  
Nikt tak nie wytrwał, nie podszedł, nie pobił,  
Nikt mniej nie mówił, a więcej nie zrobił  
Jak ty Mazepo. — W całym kręgu świata  
Od Alexandra aż po nasze lata  
Nigdy dobrańszej nie widziano pary  
Jak twój bucefał i ty wodzu stary!

Wieczny z Teresą rozłączył nas przedział,  
I jużem odtąd nic o niej nie wiedział. —  
Okropną była wściekłość wojewody,  
I prawdę mówiąc, miał do niej powody;  
Najbardziej przecież złościł się z obawy,  
By po nim jakiś tam owoc nieprawy  
Imienia jego potomka nie zyskał.  
Nie mniej i na tę myśl się wzdrygał, ciskał,  
Że mu ta plama zbrudzi tarcz herbową  
Rodu, którego on właśnie jest głową. —  
W rządzie on szczytnych sam się mieścił ludzi,  
Myśląc, że wszystkich swoim blaskiem złudzi,  
Mnie zwłaszcza swoją wielkością omami:  
A ta, o zgrozo! dla pazia się plami!  
Gdyby przynajmniej z królem przewiniła,  
Zbrodnia ta jakoś mniejby straszną była,  
Lecz z paziem! z paziem! — nie, nikt w ludzkiej mowie  
Tak okropnego gniewu nie wypowie,

Konia tu dajcie! — i przywodzą konia.  
O wprawdzie takich rumaków nie wiele!  
Ukraińskiego wychowaniec błonia,  
Jakaś myśl w całym rozdrząła mu ciele.  
Dziki, własnego obawiał się cienia,  
Dziki dzikością młodego jelenia;  
Nigdy ni uzdą, ni ostrogą tknięty  
I przed dniem jednym dopiero ujęty.  
Z zjeżoną grzywą i opornym krokiem,  
Z chrząpiącym nozdrzem, zapienionym bokiem,  
Strachał się, złościł, wspinał, rzucał dumnie  
Groźny syn stepu prowadzony ku mnie.  
Tłum mię sług porwał, na grzbiet konia cisnął,  
Na dłuż rozciągnął, rzemionami ścisnął,  
I puścił nagle. — Lecim gromem, strzałą,  
Potok z tak nagłą nie spada nawałą;  
Lecim i lecim — dech się we mnie ścinał;  
Dzień wówczas ledwie bielić się zaczynał,  
Poznać nie mogłem w jakie pędzę strony:  
On leciał, leciał pjaną ubielony.

Ostatnim dla mnie już głosem człowieka  
Com go naówczas zasłyszał zdaleka,  
Był ten sług podłych śmiech dziki, niezdolny,  
Co jeszcze z wiatrem doleciał mię głośny.  
Wściekłem się rzucił, twarz ku nim skierował,  
Gryzłem ten rzemień, co mi kark kępował,  
I choć ból straszny całą krew mi ścinał,  
Wzniósłem się na pół i lżąc ich przeklinał.  
Nie wiem, czy koń mój takim pędząc lotem,  
Klątw mych nie zgłuszył kopyt swoich grzmotem.  
Myśl ta mię trapi, gdyż się zemścić chciałem,  
Zemściłem później całym zemsty szalem.  
Nie ma tam, nie ma i jednego złamku  
Mostów, bram, zapór, baszt i murów zamku,  
Wszystkom rozorał, wszystko zburzył, skrwawił,  
Na polach jednéj trawki nie zostawił,  
Chyba, że gdzieś tam z gruzów się wyciska  
W miejscu głównego murów tych ogniska.  
Stokroć przejść można plac téj rzezi sławnej,  
A nie zamarzyć nawet twierdzy dawnéj!

Gmach się ten w oczach mych z wieżami palił,  
Z grzotem rozpekły mur po murze walił,  
Z czarnych, gorzących dachów miedź stopniała,  
Na okół deszczem parzącym się łała;  
Największą siłę z najgrubszym ogromem  
Starłem silniejszym zemsty mojej gromem.  
Nie — nie myśleli oprawce zuchwali,  
Gdy mię, jak błyskiem na tę śmierć posłali,  
Abym tam kiedyś niepojętym cudem  
Z dziesięć tysięcznym miał powrócić ludem,  
I tak, w sowitz odplacił nagrodzie  
Przejażdżkę moję panu wojewodzie.

Srogo mękami bawili się memi,  
Ale ja srożej poigrałem z Niemi.  
Czas wszystkie krzywdy spłaca nieomylnie,  
Potrzeba tylko ciągle czuwać pilnie,  
A żadna zrzeczność, żadna moc człowieka  
Nie ujdzie zemsty, co cierpliwie czeka,  
W krzywdzie skarb widzi i codzień doń zeicha  
Dolicza lichwę — a na porę czycha.

Pędzim i pędzim jakby wichry, gromy,  
Znikły za nami wszystkie ludzkie domy;  
Pędzim i pędzim jakby szturmy, burze,  
Krwawy meteor na niebios lazurze.  
Nigdzie ni miasta, ni nędznej wioszczyzny,  
Niezmierne tylko dzikich step równiny  
Czarnemi w koło opasane lasy,  
I prócz tych gmachów, co się w dawne czasy  
Przeciw Tatarom w groźnych wzniosły murach,  
A których ledwie mógł dojrzeć po górach,  
Ni śladu ludzi. — Rok właśnie przed nami,  
Turek z licznemi przeszedł tam wojskami,  
A gdzie koń Spahów ziemię nogą zryje,  
Grunt się skrwawiony trawą nie okryje.  
Pochmurno było. — Wietrzyk smętnym głosem  
Zdawał nad moim użalać się losem,  
A koń tak w strasznym pędzie się zaganiał,  
Że mi i westchnąć i modlić się wzbraniał.  
Na grzywę jego, którą wiatr rozwiewał,  
Pot się mój zimny gęstym deszczem zlewał,

On zaś na oślepi, bez celu, bez drogi,  
Pędził i chrapał ze złości i trwogi.  
Nie raz myślałem, że za krótką chwilę  
Musi nakoniec już upaść na sile,  
Gdzie tam! — zbyt wątłe i spętane ciało  
Gniewnej jędrności igraszką się zdało.  
Každy ruch, którym wyzwolić się chciałem,  
Wścieklejszym jeszcze rozogniał go szalem.  
Na głos mój z trudem z piersi wyciśnięty  
Tak w bok uskoczył jakby prętem cięty;  
Z każdym tym głosem rwał się tak szalenie  
Jakby zasłyszał trąb wojennych grzmienie.  
Strumień krwi czarnej, co się z ran mych toczył  
Spływał po ciele i pęta mi broczył,  
A jak piekielnym gorzący płomieniem  
Język ognistém palił się pragnieniem.

---

Lecim do lasów — czernią się do koła  
Dzikię, rozległe, okiem nieobjęte,

Sterczą potężne groźnych dębów czola  
Najsroźszym nawet wichrem nieugięte,  
Co wyjąc stepy Sybiru przelata  
I grzmiącym szturmem całe bory zmiata.  
Rzadko tam stoją te pyszne ogromy,  
Lecz gęsto wśród nich rośnie krzew poziomy  
Przybrany w liścia uroczej zieleni,  
Nim je oberwie mroźny wiatr jesieni  
Nim je po lasach i borach rozwieje  
W przykrą i trupią czerwoność odzieje,  
Co tak wygląda, jakby krew stężała  
Na placu bitwy leżącego ciała  
Którego żadna ręka nie pochowa,  
A tak nie jedna stwardzi noc zimowa,  
Że i dziób nawet żarłocznego kruka  
Po zmarzłym licu jak po lodzie stuka.  
Puszczę tę zarosł gąszcz młody, zielony,  
Gdzie niegdzie stały dęby, sosny, klony.  
Szczęściem że z rzadka — gdyż w takim rozgonie  
Stokroć bym pewno roztrzaskał się o nie.

Gnące się krzewy ciała mi nie darły,  
A chociaż wszystkie rany się zawarły  
Zimnem okrzeple — przecież ból przemogłem,  
A żem był w pętach, z konia spaść nie mogłem.

    Szumiąc po liściach z całej pędził siły  
Wśród drzew, wśród wilków, co za nim goniły,  
A które ciągle tuż za naszym śladem  
Mordem dyszące całym biegły stadem,  
Tym długim cwałem, co nieraz w manowcach  
I gniew i zapal znuży w psach i łowcach:  
O kilka kroków w dzień już prawie białe,  
Widziałem jak się przez gąszcz przewijały,  
A w nocym słyszał jak chrzęszcząc liśćmi  
Zdradnym poskokiem suwały za nami.  
O jakbym chętnie z nimi bój był toczył,  
Rąbał, mordował, miecz mój krwią ich broczył,  
I gdym koniecznie już miał paść ich łupem,  
Przynajmniej licznym otoczył się trupem!  
Z razu gdy koń mój z takim pędził szalem  
Chciałem by ustał — a teraz się bałem

Czy ujdzie wilkom; — lecz próznom się lękał,  
Dziki syn stepu twardych sił nie znękał,  
Pędził sążnistym lotnej sarny biegiem:  
Ziemia tak szybkim nie ściele się śniegiem,  
Gdy zbłąkanego na polu wieśniaka  
Nagle osypie, oćmi zawięj taka,  
Że już do chaty swój nie znajdzie drogi:  
Tak pędził, chrapał, dziczał z gniewu, trwogi,  
Dziczał, jak zwykle krnąbrne dziecko dziczeć,  
Gdy chce swą fraszkę na matce wykrzyczeć,  
Lub jak kobieta z silnej woli znana,  
Gdy znajdzie opór i poczuje pana.

Z południa było, gdym już przebył bory,  
Drżałem od zimna, choć wśród letniej pory,  
Może iż skryty w żyłach dreszcz mię ziębił,  
Bo kogóż długi ból by nie przygnębił;  
A jam zupełnie wówczas był odmienny,  
Silny, gwałtowny jak potok wiosenny;

Jeszcze nie zbadał uczuć mych przyczyny,  
A już te uczucia zmieniały się w czyny;  
Cóż więc dopiero gdy się zwały w duszę,  
Gniew, przestach, wściekłość i wszystkie katusze,  
Głód, zimno, nędza, boleść tak samotna,  
I straszne pęta i nagość sromotna.  
Byłem ja przytém z takiego plemienia  
Którego krew się łatwo rozplómienia,  
A taką roskosz w pomście krzywdy czuje  
Jakby grzechotnik w chwili kiedy kluje.  
Nie dziw, że ciosów wytrzymałszy tyle  
Pień ten się zachwiał i upadł na chwilę.  
Ziemia się gięła pod końskich nóg grzotem,  
Chmury mi wstecznym uciekały lotem,  
Zdalo się, że miał już na ziemię runąć,  
Lecz dla pęt moich nie mogłem się zsunąć.  
Serce pękało — skroń głazem ciężyla,  
Krew w niej chwilami biła, znów nie biła,  
Nieba się wielkiem kołem obracały,  
I jak pijane drzewa taczać zdaly.

Jakiś błysk ciągle z pod mych tryskał powiek  
I znów ciemniało — konający człowiek  
Bardziej nie kona, niżli ja konałem.  
Bity, miotany konia mego szałem  
Czułem jak czarna już mię noc pokrywa  
I znów czasami z oczu moich spływa.  
Chciałem się mocą duszy mojej cucić,  
Lecz już nie mogłem zmysłem życia wrócić.  
Byłem ja w stanie morskiego rozbita,  
Co się ostatniej w burzy deszczki chwyta,  
To się z nią wznosi, to znów w wałach ginie,  
A wiatr go pędzi w wielką wód pustynię.  
Drżące me życie było jak te liczne  
W głęboką północ światła fantastyczne,  
Które w malignach wlatują przed nami  
A z zamkniętymi widzimy je oczami. —  
Lekka ta boleść w krótkiej przeszła dobie:  
Lecz sroższy po niej czułem zamęt w sobie,  
Bałbym się, przyznam, doznać tak straszliwej  
Męki, boleści przy śmierci prawdziwej,

A przecież myślę, że człowiek przy zgonie  
Więcej wycierpi nim duszę wyzionie;  
Lecz mniejsza o to: — kto tylekroć czoła  
Nadstawił śmierci, ten zdrzeć nie zdoła.

Wracam do zmysłów — cóż to? skądźem cały  
Tak odurzony — tak zimny — skościły?  
Słabe, leniwe serca mego bicie  
Powolne w ciele mém rozbudza życie:  
Gdy wtém ból straszny nagle krew mi całą  
Na wstecz odlunął, choć zimną, stężała.  
Dziwny szum, szelest bije mi o uszy  
I jakiś mroźny przestach czuję w duszy.  
Widzę nakoniec — lecz cóż mi to oczy  
Jakąś powłoką, grubą, szklaną mroczy?  
Może ja marzę jaką wód nawałę....  
W głębi pod sobą widzę niebo całe,  
Jasne gwiazdami. — Nie! — sen mię nie zwodzi!  
Dziki mój rumak w dzikszych wałach brodzi.

Szerokiej rzeki lśniące się balwany  
Szumią białemi warzące się pjany.  
Pół ja dopiero byłem przebrnął rzeki  
Od nieznanego brzegu tak daleki.  
Czuję żem ożył, że silniejszy jestem,  
Zimnym wód rzecznych orzeźwiony chrzestem.  
Dzielny mój rumak śmiało i zuchwale  
Piersią rosnące wciąż przecinał fale,  
Płynął, aż wreszcie całą szerz ich przebył,  
Lecz brzeg ten dla mnie portem szczęścia nie był,  
Gdyż wszystko za mną mgłą się kryło ciemną,  
A noc i przestrasz czerniły przedemną.  
Nie wiem jak długo, i czy w nocy, we dnie,  
Te między życiem i śmiercią pośrednie  
Trwały męczarnie. — W stanie, w którym byłem,  
Zaledwiem wiedział, że na świecie żyłem.

---

Z ciekącą grzywą, lśniąc się, kurząc cały,  
Silił się, parzchał rumak zadyszały,

Chwiał się, a przecież potężnemi kroki  
Wdzierał się na brzeg stromy i wysoki.  
Wdarł się nakoniec — Przestrzeń nieprzejrzana  
Szerzy się grozą i nocą zalana,  
I tak wciąż naprzód szerzy się bezkresnie,  
Jak czarna otchłań wymarzona we śnie.  
Gdzie nigdzie tylko jakieś rozrzucone  
Place to białe, to ciemno-zielone,  
A które wszystkie oświecał bladawo  
Księżyc, co właśnie wówczas wszedł na prawo;  
Lecz nigdzie żadnej wróżby, ni oznaki,  
By gdzieś w pobliżu mieszkał wieśniak jaki,  
Żaden nam płomyk z siedziby człowieka  
Gościnną gwiazdą nie błysnął zdaleka.  
Błądny się nawet ognik nie pojawił,  
Któryby z mojem nieszczęściem się bawił.  
Zwodnym on wprawdzie światłem by mię łudził,  
Miłoby przecież zawsze czucie wzbudził,  
Byłbym przynajmniej doznał téj pociechy,  
Iżby mi ludzkie przypominał strzechy.

---

Koń mój biegł ciągle — lecz ta dzika siła,  
Z którą tak pędził, już złamaną była:  
Słaby, dyszący i z spienionym bokiem  
Cięższym, leniwszym posuwał się krokiem;  
Każdy mu wówczas byłby mógł poradzić  
Dziecięciu nawet dałby się prowadzić,  
Lecz nie to mojej nie ulżyło męce  
Miałem związane i nogi i ręce,  
A choćbym nawet i od pęt był wolny,  
Nie byłbym może sobą władać zdolny.  
Chciałem raz jeszcze z memi walczyć pety  
Które mi byłem tak silnie ujęty,  
Lecz tyłem mojem miotaniem się zyskał  
Żem jeszcze mocniej węzły moje ścisnął.  
Płonne więc odtąd zaniechałem boje  
Co rozjątrzały tylko rany moje.  
Zdało się, że koń mój już wkrótce legnie,  
Choć nie wiedziałem, gdzie jeszcze zabiegnie. —  
Pierwszy brzask ranny wschód słońca zwiastował,  
Lecz jakże długo z nocą się passował,

Zdało się, że mgła ciężąca na zorzy  
Nigdy przed młodym dniem się nie roztworzy.  
Długo i ciężko dźwigała się w górę  
Nim wschód w płomienną przybrał się purpurę,  
Nim wszystkie gwiazdy pogasił na niebie  
Wszelką ich jasność przyciągnął do siebie,  
I z tronu swojej potęgi i chwały  
Własnym swym światłem zalał okrąg cały.

Błysnął dzień jasny — mgłę rozproszył ciemną,  
Leży świat blaskiem rozświetlony słońca  
Tak pusty w koło — za mną — i przedemną....  
I po cóż pędzę przez ten step bez końca,  
Przez lasy, rzeki. — Nikt tu stopy swemi  
Śladu w téj bujnej nie wytłacza ziemi  
Ni zwierz, ni człowiek. — W żadnej roku porze  
Nikt tu nie przejdzie, nikt nigdy nie orze;  
W całym powietrzu cisza tak straszliwa,  
Ptaszek się ranną piosnką nie odzywa,

Nie słyhać nawet ni z trawy, ni z krzaczka  
Cichego brzęku drobnego robaczka —  
Koń mój werszt kilka biegł tak zadyszany,  
Jakby w nim wszystkie żyły pęknąć miały,  
Widocznie przecież w każdój słabiał chwili,  
Samiśmy tylko — ciągle sami byli....  
Aż, gdy tak coraz bardziej słabiał, dyszał,  
Nagleśm gdzieś zdala rżenie konia słyżał.  
Lecz nie — z błędnego sądziłem pozoru,  
Wiatr to zapewne tak świszczwał po boru....  
Nie! nie! — z tych puszczy całe stado tłumnie  
Sypie się, — zwiększa — tętni — pędzi ku mnie  
Wielkim, rozległym pulkiem rozwinięte!  
Chcę krzyknąć — próżno — usta na śmierć ścięte —  
Pędzą w swój całej wolności i pysze,  
Lecz cóż to? — ludzi ni widzę, ni słyżę,  
Któż je prowadzi? — bez jeźdźca, tysiące!  
Rozwiane grzywy, kity pływające,  
Nozdrza nawalnym oddechem rozwarte,  
Pyski nie uzdą, ni kielzmem nie darte,

Boki kolcami nie klute ostrogi  
I nigdy podków nie znające nogi.  
Tysięczny hufiec, dziki, wolny, śmiały,  
Pędzi jak morza goniące się waly,  
Pędzi, grzmi, tętni, cały step przelata,  
Jakby chciał witać nieznanego brata.  
Widok ten chwilę krzepi go i cieszy,  
Zrywa się niby i choć słabo, spieszy,  
Sili się, cichém rzeniem odpowiada,  
Chwieje się — płacze — i nakoniec pada.

Leży i dyszy z okiem już zmartwiałem,  
Z stęglém, bezwładném, kurzącém się ciałem.  
Skończył już bieg swój, pierwszy i ostatni.  
Przybiegłe stada patrzą na zgon bratni,  
Dziwi je moja postać rozciągnięta  
I krwawe z koniem wiążące mię pęta,  
Patrzą się — stoją — trwożném mierzą okiem,  
Wietrzą — strachliwym przebiegają krokiem,  
To się przybliżą, to znów pierzezną społem,  
Tę w końcu wielkiém oblatują kołem,

Aż wreszcie nagły na nie postrach pada  
Pędzą za jednym jakby królem stada,  
Który tak kruczą maścią lśni się cały  
Że jój nie plami i jeden włos biały.  
Pienią się — chrapią — rżą — od trupa stronią,  
Płoszą — pierzchają — i po lasach chronią. —

Sam odtąd z wszelkiej nadziei wyczuty  
Zostałem w stepie — do trupa przykuty.  
Leżał podemną, zimném, martwém ciałem,  
Któremu wreszcie już ciężyc przestałem.  
Długom się z wspólnych nam więzów wydzieriał,  
Teraz z nim leżał — na zmarłym umierał.  
Nigdy nie myślał, że w tak strasznej doli  
Bóg jeszcze jutra dożyć mi dozwoli.  
Tak przez dzień cały z memi leżąc pęty  
Każdą godziną jak głazem ciśnięty,  
Tylem żył jeszcze, abym widział słońce  
Już raz ostatni dla mnie zachodzące.

W strasznej pewności, że już umrzeć trzeba  
Zimnom się poddał był pod wyrok nieba  
Pod tę śmierć, co nam rok za rokiem grozi  
I serca trwogą już ostatnią mrozi,  
Co niezawodna — czasem darem bywa  
Nawet gdy nieco zbyt wczesnie przybywa,  
Od której przecież jak od sidła stronim,  
Mysłąc, że naszą troską się obronim;  
Czasem naszemi wzywamy ją łzami,  
Czasem téż sobie zadajem ją sami;  
Lecz jakąkolwiek bywa tu śmierć nasza,  
W każdej postaci, razi nas, przestrasza,  
I choć nam męki przerywa najkrwawsze  
Zawsze jest groźną i okropną zawsze.  
Dziwna rzecz! — ludzie co w roskoszach żyli,  
Nad miarę z piękném pieścili się łonem,  
Ucztami, złotem i władzą opili,  
Spokojnym często umierają zgonem,  
Spokojniej, niżli ciągłych nędz ofiary:  
Gdyż ten co wszystko wypił z życia czary,

Wszelki wdzięk, nowość, — czegoż już przy grobie  
Może żałować, może życzyć sobie?  
Nędzarz nadzieją lepszej żyje doli,  
A choć śmierć sama z nędzy go wyzwoli,  
On na nią zwiędłym okiem się użala,  
Że mu przyszęłego raję drzewo zwała.  
Jutroby może było dniem nagrody  
Za wszystkie wzgardy, nędze i przygody,  
Jutroby pierwszy dzień mu życia błysnął  
Któryby krwawych łez mu nie wycisnął,  
Nie słyssał przekłętęw — dzień szczęściem brzemienny  
Wróżbę lat długich tak jasny, promienny,  
Przez łzy niedoli oddawna widziany,  
Dzień, coby wszystkie mógł zagoić rany,  
Dzień, w którym na raz odzyskalby tyle  
W władzy — świetności — chwale — szczęściu — sile,  
I dzień ten jego przyświeci mogile!

Słońce w zachodnich już gasło obłokach,  
A ja na zimnych wciąż leżałem zwłokach,  
Pewny że nasze tam pogniją ciała;  
Wzrok mój się zciemnił, śmierć potrzebą stała.  
Bez tchu, ratunku, bez nadziei cienia,  
Ostatnie w niebo wznosiłem spojrzenia.  
Lecz gdym tak patrzył okiem już gasnącém,  
Kruk mi przeleciał między mną i słońcem,  
Co pewno na śmierć nie zaczeka moję,  
Ażeby na nas zacząć ucztę swoje.  
Latał i siadał i znowu się zrywał,  
I coraz, coraz bliżej oblatywał,  
Wciąż mi on lecąc czernił się na niebie,  
A raz tak blisko ujrzałem go siebie,  
Żem mógł z łatwością silny raz mu zadać  
Gdybym choć najmniej mógł być sobą władać,  
Słaba jednakże walka z pęty memi,  
Lekki ruch ręki — skrzył drapanej ziemi,  
Krzyk mój ochrzyplę z trudem wydzierany,  
Co nawet nie wart głosem być nazwany,

Spłoszyły kruka, trwożnym pierchnął lotem....  
Odtąd już nie wiem, co się działo potem.  
Sen mój ostatni był jak gwiazda lśniąca,  
Co wdzięcznie zdala, znów bliżej krążąca,  
Wciąż mi się wolném przemykała snuciem,  
Żyłem tém zimném, płynném, stęglém czuciem,  
Co nas przy zmysłów ożywia powrocie,  
Znów głębiej w śmierci tonąłem ciemnocie  
I znów na chwilę życiem czułem na nowo  
Chwilowo boleść i ulgę chwilowo,  
Znów zimna niemoc serce lodem ścisła,  
Raz po raz jakaś iskra z mózgu trysła,  
Tehu mi zabrakło — dreszczem bólu drżałem,  
Jeden puls — oddech — i już czuć przestałem.

---

Budzę się — gdzieżem? — cóż to za źrenice  
Tak silnie w moje wpatrują się lice?  
Istotnież ja to pod dachem przebywam,  
Istotnież w izbie — na łożu spoczywam?

Ludzkież to oko? w ziemskim że to wzroku  
Tyle jasności i tyle uroku?  
Zamykam oczy i jeszcze się boję,  
Czy w męcie myśli dawnych widm nie roję? —  
Z długimi włosy, hoża, wdzięczno-lica  
Czuwa siedząca przy ścianie dziewica;  
Już w pierwszej chwili mojego ocknienia,  
Silniem był uczuł iskrę jej spojżenia.  
Dzikiem i czarnem we mnie wryta okiem,  
Rzewnym, litośnym zda się błagać wzrokiem,  
Patrzę się — patrzę — i widzę nareście  
I twarz istotną i rysy niewieście.  
Czuję że żyję, i że już na puszczy  
Pastwą żarłocznej nie zostanę tłuszczy. —  
Młode kozackie dziewczę ledwie zoczy  
Że z trudem chore znów roztwieram oczy,  
Wdzięcznym swą radość objawia uśmiechem,  
A gdy chcę mówić, zbliża się z pośpiechem  
Z palcem na ustach daje znak milczenia  
Abym wszelkiego strzegł się wysilenia,

Na słaby nawet ruch się nie zdobywał  
I do sił zwrotu w milczeniu spoczywał.  
Bierze mię za puls, szuka go i bada,  
Podglówki moje dogodniej układa,  
Z izby się kroki wymyka cichemi,  
I drzwi odchyła i szeptem za niemi,  
Żaden głos w życiu nie brzmiał mi tak miło,  
W jej chodzie nawet coś dźwięcznego było!  
Ale że wszyscy jeszcze w chacie spali,  
Wyszła więc z izby i jeszcze raz z dali  
Troskliwém na mnie okiem się spojrzała  
I jeszcze drugi niemy znak mi dała,  
Bym się nie lękał, gdyż ludzie są bliscy,  
A wszyscy pewni i chętni mi wszysej,  
Każdy z nich zaraz na mój głos się stawi  
I ona także nie długo zabawi.  
Wyszła, a wtenczas gdy ją z ócz straciłem,  
Czułem dopiero jak samotny byłem.

Przyszła, rodzice przywodząc mi swoje....  
Ale już dłużej nudzić się was boję,  
A jeszcze prawie byłoby nie mało,  
Co się tam zemną wśród Kozaków działo.  
W dzikiem mię, pustem znaleźli bezdrożu,  
W najbliższej chacie złożyli na łożu,  
Do zmysłów, życia, powrócili z trudem,  
Na to bym kiedyś ich zarządzał ludem.  
Dumny mnie głupiec i przemyślny w karze  
Pognał w głąb dziczy w całym zemsty żarze,  
Bym w pętach, nagi, we krwi, bliski zgonu,  
Pędząc przez stepy, dobiegł aż do tronu!  
Któż przejrzy w świecie co mu los przeznacza?  
Niech więc nikt z naszych nie słabnie, rozpacza,  
Jutrzejszy ranek może nasze konie  
Ujrzyć za rzeką na tureckiej stronie.  
Nigdy tak żadnych nie uwielbiał fali  
Jak Dniepr uwielbię gdy nas już ocali.  
Dobra noc, bracia! — i wraz z słowy temi  
Starzec jak długi kładzie się na ziemi,

Na prędcie liściem zasłanej dębowém,  
Łożu dla niego ni twardém, ni nowém,  
Na sen mu bowiem miły i swobodny  
Każdy był zakąt, każdy czas dogodny.  
Tak spał i teraz. — Król się nie odwrócił,  
By mu choć jedno grzeczne słówko rzucił,  
Lecz się nie dziwicie. — Z zbyt prostej przyczyny  
Karol tak milczał — zasnął od godziny.



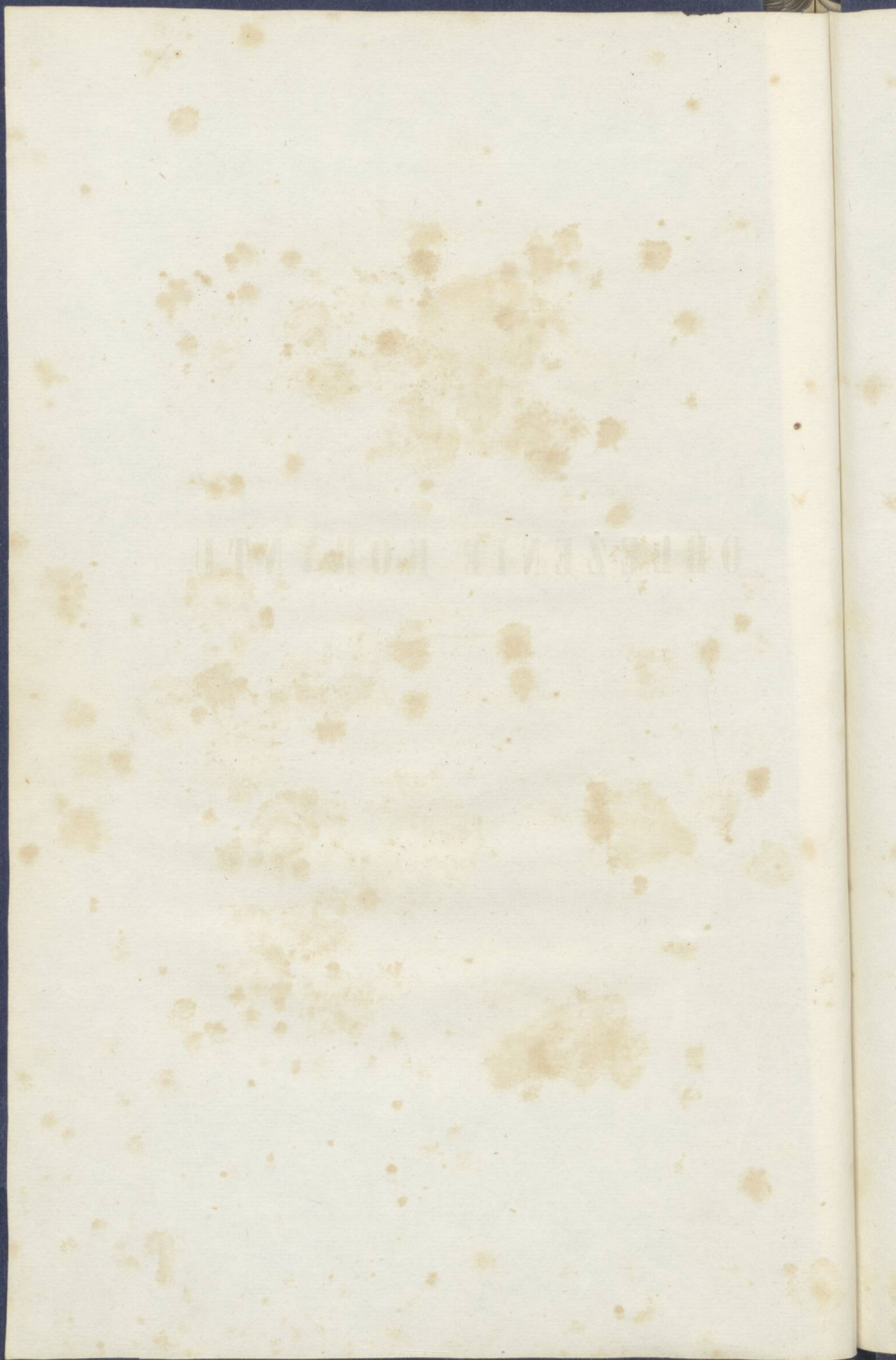
The first part of the book is devoted to a general history of the world, from the beginning of time to the present day. The author discusses the various races of men, their physical characteristics, and their social and political institutions. He also touches upon the progress of science and the arts, and the influence of religion upon human affairs.

The second part of the book is a history of the British Empire, from its origin to the present. The author traces the growth of the empire, from the first settlement in North America to the acquisition of India and the East Indies. He also discusses the various wars and conflicts which have marked the history of the empire, and the influence of British rule upon the world.

The third part of the book is a history of the United States, from its origin to the present. The author traces the growth of the nation, from the first settlement in the colonies to the present day. He also discusses the various wars and conflicts which have marked the history of the nation, and the influence of American rule upon the world.

**OBLĘŻENIE KORYNTU.**





## OBLĘŻENIE KORINTU.

---

### I.

**T**ysiączne lata i wojny i burze  
Przeszły ryjące po korynckim murze,  
A przecież dotąd mimo tylu wieków  
Stoi ta twierdza, dzieło wolnych Greków.  
Wśród trzęsień ziemi, wśród szturmów nawały  
Nie zdrzął nawet gmach téj wzniosłej skały,  
Klucz téj Grecyi, którą jarzmo tłoczy,  
Przecież wzrok dumny po téj górze toczy  
Dwóch mórz granicy. — Przy niéj to gotowe  
Z dwóch stron się zetrzeć fale purpurowe,  
Jakby téj groźnej złąkły się przegrody,  
U stóp jéj kornie gniewne ścielą wody.

Gdyby od krwawej śmierci Tymofana  
Aż do ucieczki perskiego tyrana  
Wszystka krew, która kraj ten zalewała,  
Z głębi tych łądów znów wytrysnąć miała,  
I wszystkie kości w jeden stós się zbiegły,  
Co w tyłu wojnach ziemię tę zaległy,  
Całe to sławne Grecyi przestworze  
Nowe i krwawe zalałoby morze,  
I wyższy kolos przebódlby lazury  
Niżli ten ogrom Akropolis góry  
Którój wierzch, w groźnej tyłu baszt koronie,  
Piętrzy się dumnie i w obłokach tonie.

## II.

Na ciemnym szczycie Cyteronu lśniące  
Wznoszą się, sterczą liczne lanc tysiące:  
Niżej oparte o mórż obu brzegi  
Bielą się różnych namiotów szeregi.  
Wojska szykami stanęły długimi,  
Mnogie księżycy jaśniejają nad niemi,

Czernią się Spahy — ciągną — a na przedzie  
Każdego z hufców basza brodacz jedzie,  
I jak daleko oko sięgnąć zdoła  
Same turbany wszystkie kryją czoła.  
Tu wielbłąd pod swym przykłęka ciężarem,  
Tam koń pod zwinnym pieni się Tatarem,  
Turkoman rzucił swoje trzody, stada,  
W broń się uzbroił i znów szablą włada.  
Ciągłe grzmiącemi zagłuszane strzały  
Gładzą się morza uciszone wały.  
Przykop gotowy. — W szybkim jak błysk locie  
Śmiercią brzemiennych kręgów świszczą krocie,  
Liczne od murów odpadają łomy  
Ciągłe ciężkimi wybijane gromy:  
Ale i twierdza odpowiadać umie  
Wyzywającąj Muzułmanów dumie,  
I śmierć im za śmierć odsyła bez zwłoki  
Przez gęste kurzu i dymu obłoki:

## III.

Któż to w tych trudach najśmielszym przywodzi?  
Kto codzień bliżej pod ten wał podchodzi?  
Nikt nie ma z wszystkich tam synów proroka  
Jego wśród boju zręczności i oka;  
Żaden wódz wyższém nie słyńie tam mężtwem,  
Ani téż krwawszém pyszni się zwycięstwem.  
Z czynu do czynu i z pola na pole  
Pędzi i konia spienionego kole,  
A gdy wróg nagle na przykop uderzy  
I najcelniejszych wytnie mu żołnierzy,  
Lub gdy obronce groźnej działobitni  
Szturmowi jego stawią opór zbytni,  
Zsiada z rumaka, stawa na wojsk przedzie,  
Krzepi zachwianych i sam na bój wiezie.  
On wśród tych wodzów pierwsze miejsce trzyma,  
Któremi dumny Sultán się nadyma,  
On to najręcznieńj prowadzi żołnierza  
I lancą włada i działa wymierza,  
Miecz jego w boju głów tysiące zmiata,  
Alp mu na imie — z wiary, apostata.

## IV.

Z świętego niegdyś szczepu on pochodził,  
W swój się ojczyźnie — w Wenecyi zrodził,  
Lecz gdy go za jój wygnano granice  
Podniósł przeciw niej tę samą prawicę  
Którą do boju wprawiali ziomkowie,  
I odtąd turban na swój nosi głowie.  
Po licznych zmianach całe państwo greckie,  
Przeszło z Koryntem pod prawo weneckie,  
I teraz widzą tu pod mury temi  
Wspólnych swych wrogów — widzą Alpa z niemi,  
Alpa, co w takim zaciął się zapale  
Młodych zaprzańców gorejącym szale,  
Że ciągle w swojej obrażonej dumie  
I mścić się tylko i w krwi broczyć umie.  
Nie — już téj, co się dumnie — wolną — mniema,  
Nie — już dlań starój Wenecyi nie ma!  
Miał on w niej wrogów swego szczęścia, chwały,  
Co bezimienną skargę nań podały,

Skargę — wśród nocy — w Lwięj paszczy złożoną  
A której nie mógł swoją zbić obroną.  
Uciekł on wcześniej i z życiem się schronił,  
Lecz na to, by je później w wojnach trwonił  
I swęj ojczyźnie dowiódł straty męża,  
Co wszystkich zwalczył, co sam krzyż zwycięża,  
Świetne księżyca stwierdza panowanie  
I lub się zemści, lub téż żyć przestanie.

## V.

Ten sam — co później w Karłowickięj klęsce  
Padłszy, własnego uwiecznił zwyciężcę,  
Co poległ na tych polach krwią okrytych  
Pierwszy z walczących, ostatni z zabitych,  
Bez żalu życia, przecież w wściekłym szale,  
Klnąc i zlorzeczając chrześcijańskięj chwale,  
Ten sam Kumurgi nieprzepomnęj sławy  
Ostatni Greków ujarzmicieł krwawy,  
Dzisiaj to całe wojsko Turków sprawia  
Alpa na czele przednich hufców stawia,

Alpa, co stał się godnym téj nagrody  
Z ziemią zrównawszy liczne miasta, grody,  
I codzień krwawszym dowodząc mu czynem  
Jak dzielnym, wiernym jest proroka synem.

## VI.

Słabiał mur twierdzy kulami poryty  
Szybko, potężnie i bez przerwy bity:  
Podobnym burzy grzmotem wciąż ryczały  
Działa częstemi rozpalone strzały.  
Były dni, w których bomby muzułmańskie  
Pękłszy, świątynie zapalały pańskie;  
A gdy się który z owych gmachów walił,  
Co go ten lotny wolkan wstrząsł i palił,  
Grzmiał łom po łomie z dachów, ścian zwęglonych,  
A ogień w słupach wybuchał czerwonych,  
Lub téż w potężne iskry się rozpryskał  
I jak gwiazdami ziemi, w niebo ciskał.  
Grubą na słońce rzuciły osłonę  
Obłoki, dymów kłębami szernione;

Ciężko śiarczyste wzbijając się chmury,  
Szeroko niebios powlekły lazury.

## VII.

Lecz nie dla zemsty, choć jój zdawna wzywał,  
Nie dla niej tylko Alp twierdzy dobywał  
I uczył Turków jak zręcznemi strzały  
I łamać mury i rozwalać wały.  
Była w tój twierdzy uroczego wdzięku  
Dziewica, którą chciał on z ojca ręku  
Wydrzeć, zaślubić. Starzec ten niezgięty  
W gniewie swym opór stawiał mu zacięty,  
Choć przez lat tyle o jój rękę prosił  
I jeszcze imie chrześcijańskie nosił.  
Niegdyś z szczęśliwszą dni weselszych wiosną  
Nie jak dziś, zbrodnią obarczony sproszą,  
W lśniących on salach lub tóż lotnej nawie  
W zapust weneckich tak rozgłośnej wrzawie  
Jaśniał nad wszystkich — a w nocach miesięcznych  
Tak w serenadach smętnych, słodko-dźwięcznych,

Grał jój i nucił swe miłośne żale,  
Że nigdy morskie Wenecyi fale,  
Żadne dziewice w całej Włoch przestrzeni  
Tak wzruszających nie słyszały pieni.

## VIII.

Wszyscy jój serce za podbite mieli,  
Nikt jój nie zajął z śród tyłu czcicieli,  
Nikt ręki Anny nie mógł zyskać w darze  
Aby przed święte powiódł ją óltarze.  
Zważano nawet, że gdy Alp odpłynął  
I gdzieś do brzegów pogańskich zawinął,  
Zwykły jój uśmiech z ust jój znikł niezwrotnie  
Zbladła i często dumiała samotnie.  
Częściej ją w pośród świątyń spotykano,  
Rzadziej na ucztach, na balach widziano,  
W których spuszczała oczy obojętne  
Nowym już swoim zdobyczom niechętne.  
Zimném na wszystko było oko Anny  
Ubiór jój nawet bywał mniej staranny,

Śpiew jój utracił wiele ognia, siły,  
Stopy choć lekkie lecz mniej lotne były  
W tych tańcach, które choć do ranku trwały,  
Weselszym parom zbyt krótkie się zdały.

## IX.

Gdy Sobieskiego potężna prawica  
Pod Wiedniem hardość łamała księżycą,  
A z greckich karków zastępy weneckie  
Zwycięzko jarzmo zrzuciły tureckie,  
Minotti prawem tém w Koryncie władał  
Które mu Doża nad Grecyą nadał,  
A której wreszcie po tak długim boju  
Litośnie uśmiech zabłysnął pokoju.  
Lecz nim ten pokój znów został zerwany  
Co z jarzma Turków wyrwał Chrześciany,  
Minotti do swój utęskniony córy,  
W groźne Koryntu wprowadził ją mury.  
Nie — odkąd słynna Menelaja żona  
Kraj ten rzuciła niewiarą splamiona,

I odkąd swoją zbrodnią nam dowodzi  
Ile nieprawa miłość nieszczęść rodzi,  
Nikt tak cudnego nie ujrzał tam lica,  
Jakiem wenecka jaśniała dziewica.

## X.

Pękł mur i runął. — Otwór nad zwałiskiem.  
Jutro więc, jutro z pierwszym dnia zabłyskiem  
Groźny, potężny tłum celnych rycerzy  
Rzuci się szturmem i w wyłom uderzy.  
Wojsko sprawione i hufiec wybrany,  
Hufiec szturmowy, ztąd — straconym — zwany.  
Pójdzie na czele, pójdzie z wzdargą życia  
Pełen nadziei i pewien zdobycia.  
Z mieczem on w rękę wedrze się na wały,  
Lub drogę swemi tak uściele ciała,  
Że drudzy po nich jakby po drabinie  
Pójdą, aż na niej już ostatni zginie.

## XI.

Północ. — Księżycą jasność, zimna, blada,  
Smętnie na wzniosłe czola gór tych spada.  
Błękit na wodach, a niebo w lazurze  
Zda się jak morze rozwieszone w górze  
Z wypami światła, których blask wieczysty  
Tak żywy — jasny — eteryczno-czysty,  
Że kto się spojrzy na ich świat uroczy  
I znów ku ziemi korne spuści oczy,  
Radby się ku nim puścić w lot daleki  
Z ich nieśmiertelném światłem zlać na wieki!  
Całe powietrze tak czyste, promienne,  
Wody spokojne, a tak ciche, senne,  
Że ledwie falą śnieżno się pieniającą  
Z głuchym pomrukiem brzeżny żwir potracą.  
Ucichły morza z śpiących wiatrów ciszą,  
Liczne sztandary wzdłuż swych drzewców wiszą  
I gdy tak zwędle chyłą się ku ziemi,  
Złote księżycy jaśnieją nad niemi,

Nie tu głuchego nie przerwie milczenia  
Prócz wołań straży i rumaków rżenia,  
Które raz po raz sny żołnierskie kłóca  
I aż po górach śpiące echa cucą.  
Jakby szmér liścia tak się w wojsku szerzy  
Rozległy pomruk zbudzonych żołnierzy  
Na Muezzina głos posepnie brzmiący  
I do północnych modlitw wzywający.  
Głos jego zda się smętnej pieśni dźwiękiem  
Przeciągłym ducha samotnego jękiem,  
Brzmi on tak dźwięcznie, tak łagodnie, smutnie,  
Jak gdy wiatr trąci nastrojoną lutnię  
I w niej ton wzbudzi długi, nieprzerwany,  
Żadnej śmiertelnej muzyce nie znany.  
Ciężko na serca oblężonych spada,  
Zda się, że bliski zgon im zapowiada,  
Zwycięzców samych zimnym dreszczem mrozi,  
Im nawet jakąś czarną wróżbą grozi.

Głos ten swym drżącym, przenikliwym tonem  
Nagle krew ścina w sercu przerażonym,

Które gdy płonność trwogi swój odkryje  
I wstydem płonie i znów silniej bije.  
Tak nas pogrzebne przerażają dzwony,  
Choć obojętne zwiastują nam zgony.

## XII.

Stał namiot Alpa u nadbrzeźnej skały,  
Głos ów już ucichł i modły wybrzmiały,  
Rozstawił czaty, nocne obszedł strażę,  
Wszystko spełnione lub spełnią jak każe:  
Jedna noc jeszcze troski, niepokoju,  
Lecz jutro zemstę swą nasyci w boju,  
Miłość mu długie nagrodzi czekanie:  
Wojsko nie zaraz jeszcze ze snu wstanie,  
Ma więc czas zasnąć: — chciałby użyć wczasu,  
By do krwawego wzmocnić się zapasu;  
Lecz jakieś myśli czarne i natrętne  
Tak się w nim warzą jakby wody mętne.  
Stoi sam jeden w pośród śpiące tłumy,  
Nie dzieli Turka fanatycznej dumy,

Nie na to myśli życie swe narażać  
By dla księżycy chwały, krzyż znieważać,  
I aby w raju po swym spocząć zgonie  
W wiecznych pieszczotach na Huryssek łonie.  
Żar jego nie jest ogniem patryoty,  
Nie zna téj wzniosłej, gorejącej cnoty,  
Co się nie wzdryga krew i życie trwonąć  
I wszystko ważyć, by kraj swój obronić.  
Stoi sam jeden — lecz jak winowajca,  
Zaprzaniec Boga i ojczyzny zdrajca,  
Stoi sam jeden wśród tylu rycerzy,  
A żadnej ręce ni sercu nie wierzy.  
Idą z nim na bój, bo ich wiedzie śmieie,  
Bo jest tak hojnym przy łupów podziele;  
Pełzają przed nim, bo w tym grubym tłumie  
Zręcznie myśl dziką zgiąć i podbić umie;  
Lecz że mu życie dały Chrześciani,  
Grzech go w ich oczach plami niezmazany,  
Téj sprosnej nawet zazdroszczą mu sławy,  
Której się dobił dla ich walcząc sprawy,

Pomną, jak zbrojny nazareńskim kordem  
Krwawym za młodu wytepiął ich mordem.  
O nie, nie wiedzą jak to duma zmienia  
Serca zjątzone hańbą poniżenia,  
Nie wiedzą, jaki w podłém, czarném łonie  
Odstępców wiary fałsz i wściekłość płonie.  
Włada, — bo władać można najgorszymi  
Kiedy się męztwem celuje nad niemi.  
Taka to Lwa jest nad Szakalem władza,  
Ten szuka łupu, a Lew łup ten zgladza,  
Karmi się, syci, aż wzgardą przejęty,  
Na pisk mu podły krwawe ciska szczęty.

## XIII.

Płonie skroń Alpa. — W sercu ciężkiem, smętném,  
Drgające żyły silném biją tętnem;  
Próżno się do snu zmusza przez czas długi,  
Z jednego boku przerzuca na drugi,  
Nie śpi, a chociaż zdrzymnie się chwilowo,  
Z najmniejszym szmerem zrywa się na nowo;

Turban go ciśnie po gorzącém czele,  
Zbroja jak olów cięży mu na ciele,  
A przecież dawniej wśród niejednej wojny  
Spał on tak błogo, choć jak dzisiaj zbrojny,  
I chociaż miewał leże mniej dogodne,  
Ziemie mniej pulchną, niebo mniej pogodne.  
Nie — spać nie może — ni w pośród namiotu,  
Tak sam, tak długo czekać dnia powrotu:  
Chodzi wzdłuż morza piaszczystych nabrzeży,  
Gdzie snem ujęte jego wojsko leży.  
Któż im słał miększe niżli jemu łoże,  
Czemuż śpią wszyscy, a on spać nie może?  
Bardziej im ciężą trudy, grożą boje,  
Przecież spokojnie marzą lupy swoje;  
On sam — on jeden wśród liczne tysiące  
Śpiące — i może raz ostatni śpiące,  
Dręczy się, czuwa, błędnym stapa krokiem  
I zazdroszczącém na nie patrzy okiem.

## XIV.

Serce świeżością nocy mu ożyło,  
Niebo choć chłodne ale czyste było,  
W wonném powietrzu chmurne kąpał skronie.  
Za nim był obóz — przed nim lśniąca tonie  
Kręto-obrzeźnej Lepantu zatoki:  
Śnieg stroił wierzchy delfickiej opoki  
Wzniosły, wieczysty, a tak jasny biały,  
Jakim tysiączne lata go widziały.  
Wciąż on nad lądem i morzem jaśnieje  
Twardszy niż człowiek — z wiekiem nie topnieje.  
Mniej trwali na blask słonecznych promieni  
Nikną jarzmiący i nikną jarzmieni,  
Gdy wierzch ten z wieków lśni się przystrojony  
W białość tej lekkiej i wątlój osłony:  
Kruszą się groźne dęby, baszty, mury,  
A ona wiecznie bieli szczyt tej góry.

Wolność się z ziemskim żegnając padolem  
Nad gór ją wzniosłych zawiesiła czołem,

Wieżąc te szczyty, zkał ję pieśń od wieków  
Duchem proroczym ostrzegęła Greków.  
O ciągle ona po tych bojowiskach,  
Grobach i świętych błęka się zwaliskach,  
By znów ostygłym sercom dodać żaru  
I do wielkiego wezwać je zamiaru:  
Lecz próżno, próżno zwiędłe serca cuci,  
Bo nie tak prędko owe słońce wróci,  
Które widziało popłoch perskich szyków  
I męzki uśmiech śmierci Spartańczyków.

## XV.

Nie był Alp zimnym na świetne przykłady  
Pomimo swego odstępstwa i zdrady,  
I wśród tęg nocy gdy tak chodzi, marzy,  
W myśli swęj przeszłość i obecność waży,  
I o tych zgasłych męzów duma sławie  
Co krew swę lali w lepszej niż on sprawie,  
Jakże ta chwała zdaje mu się lichę  
Której dziś z taką dobija się pychę,

On, co miecz wznosi na swych ziomek mordy,  
Zdrajca, przywódzca muzulmańskiej hordy,  
Co tyle zyska twierdzy téj zburzeniem  
Że świętokradzcy ochrzczą go imieniem.

Nie takim niegdyś laurem się wieńczyły  
Mężę, na których patrzy się mogiły.  
Tu na tych polach wiedli bój potężny,  
Z tych baszt stawiali wrogom opór mężny,  
Legli, lecz wiecznie w swojej żyją ziemi,  
Całe powietrze wciąż oddycha niemi,  
Wody wciąż szemrzą ich wielkie imiona,  
Sławą ich pustość lasów zaludniona;  
Żyją po wszystkich Grecyi przestworzach,  
Duch ich po górach, a pamięć po morzach,  
Drobna nic źródła, nurt potężnej rzeki,  
Płyną z ich chwałą zmieszane na wieki.  
Mimo że tyran ujarzmił go krwawy  
Kraj ten należy do nich i do sławy!  
Grecya wiecznie światu hasłem będzie  
I ten, co na czyn wielki się zdobędzie,

## XXIII.

Jak kiedy tłuszcą pędzące gromadną  
Wilki groźnego bawołu opadną,  
Ryczy z wściekłości, wzrok ognisty toczy,  
Ostrzem je racie bije, krwawi, tłoczy,  
Największe śmiałki drażniące go zbliża,  
Chwyta na rogi i o skały ciska;  
Tak ku téj twierdzy Muzułmanie biegli  
I tak najpierwsi, najmężniejsi legli.  
Niejedne piersi pancierzem okryte  
Tak się roztrzasły jakby szkło rozbite,  
Kule, które ich na ziemię waliły,  
Jeszcze tę ziemię po ich zgonie ryły.  
Rzędem ich trupy widziano leżące  
Jak traw pokosy na ściętój już łące.

## XXIV.

Jak gdy wiosenny potok w skałę bije  
I silnym prądem twardy spód jój ryje,

Wala się w nurty wód, potężne łomy  
Grzmiące i pjaną zbielone ogromy  
Podobne do tej śnieżystej lawiny  
Co na alpejskie zwała się doliny,  
Tak ciągle do niej szturmując gwałtownie  
Turcy nakoniec już wstrzęśli warownię,  
A jej obrońcy upadali z znoju,  
Parci potęgą przemożnego boju.  
Na trud, na przemoc i na śmierć wytrwali,  
Stojąc jak skały, massami padali;  
Noga się z nogą, dłoń z dłonią ścierała  
I wśród tej wrzawy — sama śmierć milczała.  
Cały war bitwy tak rozgłośny, dziki,  
Krzyki o życie i zwyciężkie krzyki  
Z hukiem dział grzmiących w jeden ryk się zwały,  
Z drzeniem dalekie miasta go słuchały,  
Nie wiedząc komu losy się przeważą,  
Czy jm się cieszyć, czy też płakać każą.  
Ryk ten okropny nigdy nie przerwany  
Przerażającym echem odbijany

Groźno po ciemnych rozlegał się górach,  
 Grzmiał aż w Megary, Salaminy murach,  
 I jeśli wieściom wiarę dać należy  
 Aż do Pirejskich zasięgał nabrzeży.

## XXV.

Każdy tam miecz swój po rękojeść skrwawił  
 Lecz już zwycięzki w mieście krok postawił:  
 Na łup się tłuszcza rozlata zdziczała,  
 Wszystko skończone — sama rzeź została.  
 Gdzie tylko wpadną tłumy łupu chciwe,  
 Słysząc po domach krzyki przeraźliwe.  
 Iuż to krwią się w swój ucieczce bryzga  
 I po tych brukach szcerwienionych ślizga!  
 Gdzie jeszcze można bronić się chwilowo  
 Tam Chrześcianie łączą się na nowo,  
 W drobne, rozliczne tłumy się jednoczą  
 I jeszcze, jeszcze bój rozpaczny toczą,  
 Każdy plecami o mur się opiera  
 Broni się zjadle i walcząc umiera.

Zbielony wiekiem wśród nich starzec stoi  
Lecz dzielny oręż silną dłoń mu zbroi,  
Ciągle on walcząc z samém wrogów czołem  
Rozleglém trupów ościelał się kołem,  
Drogo on każdy cal im ziemi sprzedał,  
Cofał się, ale oskrzydlić się nie dał.  
Liczne pod zbroją rany go zdobyły  
Lecz te pamiątką dawnych wojen były.  
Dzisiaj i jednej kropli krwi nie zronił,  
Jak gdyby Bóg sam swą go tarczą słonił.  
Starość w nim twardéj siły nie przemogła  
I rzadko młodość z nią się mierzyć mogła.  
Więcej od jego dziś zginęło ciosów,  
Niżli na głowie siwych liczy włosów.  
Iluż on matkom serca ich zakrwawił  
Iluż swym mieczem synów ich pozbawił,  
A z których żaden jeszcze się nie zrodził  
Gdy on już we krwi muzulmańskiej brodził.  
I jego niegdyś poległ syn jedyny,  
Lecz jakże liczne wrogów jego syny

Odtąd pod mściwym ojca mieczem padły;  
Tak on był w zemście téj srogi, zajadły,  
Że żadna zbrojna dłoń żelaznej siły  
Takięj z ciał ludzkich nie wzniosła mogiły!  
Jeżeli krwi trzeba ceniom ległych w wojnie,  
Achill w swęj zemście nie lał jęj tak hojnie  
Jak on po synie przez Turków zabitym  
I zdawna grecką już ziemią pokrytym.  
Tam go złożono, gdzie ciągle walczące  
Od lat tysiąca grzebano tysiące.  
Jakaż nam po nich pamiątka została?  
Wiemyż jak padli? — gdzie leżą ich ciała?  
Nie ma na grobach głazów, w grobach kości,  
Sam wieszcz ich chwałę utwierdza w wieczności.

## XXVI.

Słuchaj! krzyk nowy — grzmi Allah potężne!  
Walczą jańczarów tłummy niezwyciężne.  
Wódz się ich nagięm ramieniem odznacza,  
Patrz! jak zabija — nigdy nie przebacza,

Zawsze on, zawsze takie toczy boje  
I zawsze ramie tak obnaża swoje.  
Jedni wyższemi celują turbany,  
Drudzy się w droższe stroją atagany,  
Trzecich po świetném poznają odzieniu,  
Alpa jedynie po nagiém ramieniu.  
Gdzie się najzjadlój wojsko ściera, łamie,  
Spójrzyj, a pewno nagie ujrzysz ramie;  
Żaden z sztandarów idących na przedzie  
Dalej w głąb boju wojska nie zawiedzie,  
Jak ta prawica swą białością lśniąca,  
Błyska, jak gdyby gwiazda spadająca!  
Gdzie tylko straszne to ramie postrzegną,  
Tam najmężniejsi walczyć, umrzeć biegną,  
Tam wściekła zemsta na podły jęk głucha:  
Ni prośb, ni krzyków o życie nie słucha,  
Tam to bohater w ciężkim milcząc zgonie  
Chciałby jęk śmierci w swoim stłumić łonie  
I jeszcze zdradnie swym sztyletem mierzy  
W swojego wroga, który przy nim leży,

Ale śmiertelną osłabiony raną,  
Uderza tylko w ziemię krwią oblaną.

## XXVII.

Walczył wciąż starzec niczém nieugięty  
Alp go zoczywszy wstrzymał bój zacięty:  
„Poddaj się — woła — i nie walcz daremnie  
„Przez miłość córy, przyjm życie odemnie.“  
„Nie! nigdy! sproсна wiary twój zakąło,  
„Choćby to życie wieczystém być miało!“  
„Lecz Anna? którą chciałem być poślubić,  
„Czyż i ją także chce twa pycha zgubić?“  
„Anna bezpieczna.“

„Gdzież jest? gdzież jest?“

„W niebie.

„Zkąd już jak zdrajcę odepchnięto ciebie,  
„Uszła w świętości niezmazanej cnoty.“  
Srogo się, mściwie uśmiechnął Minotti,

Gdy Alp tą wieścią jak gromem przesyty  
Zachwiał się nagle i wzrok spuścił wryty.

„Boże! i kiedyż?”

„Dzisiaj w nocy zmarła,

„Ale i jednej łzy mi nie wydarła,

„Nikt już z krwi mojej ni w twych jeńców rzędzie,

„Ni Mahometa służalcem nie będzie;

„Przystąp i uderz!”

Daremnie nań woła —

Alp już zabity. — Strzał z wieży kościoła

Powalił zdrajcę. — Jeszcze nikt nie zoczył

Ni krwi, ni rany, gdy się już potoczył

I upadł wiecznie. — Chwilę przed swym zgonem

Dziko się okiem spojrzął roziskrzonym

I wraz wieczystej nocy mrok głęboki,

Drgające jeszcze jego okrył zwłoki.

Na wznak go bliskie kładą Muzułmany,

Cały okryty kurzem, krwią oblany,

Krew ta się lejąc z żył kulą rozdartych

Stęgła i zsiadła bucha z ust rozwartych,

Puls już nie bije — żaden głos, westchnienie,  
Żadne walczącej piersi wysilenie,  
Żaden jęk zgonu ni ciężkiej katuszy  
Nie poprzedziły ujścia czarnej duszy.  
Wprzód nim w swjej myśli pomodlić się zdołał,  
Wprzód nim do Boga o litość zawołał,  
Umarł już z wszelkich nadziei zatrata,  
W ostatniej nawet chwili apostata.

## XXVIII.

Grzmiącym tryumfem Chrześciany krzykły,  
A Turki zemstą i wściekłością rykły,  
I znów się oba sprzeczne starły szyki,  
Szczękają szable, krzyżują się piki,  
Kłują się, rąbią i z obu stron razem  
Trupy pod zbójczém padają żelazem.

Wciąż się Minotti ściera z wrogi swemi,  
Każdej ulicy, każdej stopy ziemi,  
Jako ostatka już tych krajów broni  
Których los mężnej jego zdano dłoni.

Szczupła go wspiera liczba dzielnych mężów  
I mężstwem serca i gromem oręży.  
Jeszcze są zdolni bronić się w kościele,  
Gdy Alpa nie ma już na wrogów czele.  
Zwolna więc z groźném ustępują okiem  
Krew swą za każdym zostawiając krokiem,  
Walczą i twarzą zwróceni ku wrogom  
Ciągłe ku świętym cofają się progom  
I tak uchodzą i łączą się z temi  
Co już świątynię zajęli przed niemi.  
Tam choć na chwilę za murem potężnym  
Ogromnych kolumn, wytechną piersiom mężnym.  
Krótkie spoczynienie! — nowe siły kroczą  
I wciąż się mnożą, a tak cisną, tłoczą  
W ciasnej uliczce — że ten tłum zażarty  
Ciągłe rosnący i wciąż z tyłu party  
Nie da naczelnym hufcom się usunąć  
I muszą walczyć lub o ziemię runąć.  
Giną. — Lecz wprzód nim zgasłe zawrą oczy,  
Już na ich ciałach nowy bój się toczy,

Świeższy tłum rzezie rozpościera krwawsze  
Wciąż przerzedzany, przecież pełny zawsze.

## XXIX.

Garstka Chrześcian zлана krwią i znojem  
Słabnie tym ciągłym zmordowana bojem,  
Turek do samej bramy już dociera.  
Długo żelazny ciężar się opiera,  
Lecz choć się z murów ciągle sypią strzały  
I z wszystkich okien lecą kul nawaly,  
Już jój podwoje wstrzęsły się i jęły,  
Skrzyły zawiasy i zapory pękły;  
Chwieje się — pada brama rozwalona,  
Leży ostatnia Koryntu obrona!

## XXX.

Sam jeden — z twarzą groźnego wyrazu  
Stoi Minotti na ołtarzu z glazu,  
A obraz Boskiej Matki i Dziewicy,  
Urocze dzieło natchnionej prawicy,

Zda się na starca postać nieugiętą  
Okiem miłości zlewać jasność świętą.  
Na to pobożne Ją tam ręce wzniosły,  
By ciągle ku Nięj myśl i serca rosły  
I każdy z rzównem widział to przejęciem  
Chyląc się przed Nią i Bogiem-dziecięciem,  
Jak się uśmiecha naszym kornym głosem  
I zda się z modłą swoją ślać niebiosom.  
Ciągłym był zawsze ów uśmiech uroczy  
I teraz nawet, gdy krew kościół broczy,  
Jeszcze ten uśmiech Jój uwdzięcza lice.  
Minotti łzawe podnosi źrenice,  
Z ciężkiem westchnieniem żegna pierś i skronie,  
Świecę, co właśnie na ołtarzu płonie,  
Bierze i trzyma — gdy wtém wściekła tłuszcza  
Zewnątrz i wewnątrz krwawy szturm przypuszcza.

## XXXI.

W sklepach kamienną posadzką okrytych,  
Mieszczą się zmarli wieków już przebytych;

Są tam ich w gładzach wryte imiona  
Lecz każda zgłoska we krwi zatopiona,  
Wyrznięte herby, dziwnych żył tysiące  
Po różnobarwych marmurach krążące,  
Wszystkie tak śliskie, wszystkie krwią zalane,  
Leżą i helmy i miecze strzaskane,  
Trupy w kościele — trupy pod kościołem  
Zamknięte w trumnach i złożone społem.  
Widać przy bladym świetelka promyku  
Jak tam za kratą w czarnym leżą szyku;  
Ale i do tych wojna doszła lochów,  
Groźne tam massy swych ukryła prochów;  
Tam to przez całe twierdzy obleganie  
Skład ich największy mieli Chrześciance,  
Tam od ołtarza aż w ów loch podziemny,  
Ciągnął się kanał wążki i tajemny  
Na Minottego rozkaz wyrobiony,  
Jako ostatni już środek obrony.

## XXXII.

Nazbyt już siła Chrześcian zmniejszona,  
Daremne męstwo i próżna obrona  
Idzie wróg liczny, a że już zamało  
Dla jego zemsty żywych pozostało,  
W trupich więc ciałach mściwie topi miecze,  
Odcina głowy zmarłych — rąbie — siecze,  
Zwała posągi i jak tłum zbrodniarzy  
Bogate wota oddziera z ołtarzy  
Kłóci się, bije o kosztowne czary,  
Złote naczynia, poświęcone dary.  
Wreszcie na wielki ołtarz zwraca oczy,  
Iluż on razem blaskami go mroczy!  
Widzi tam, widzi na środku stojący  
Świętych tajemnic kielich jaśniejący  
Spory i z złota czystego ulany:  
Z wrytém weń okiem lecą Muzułmany.  
Ach! dziś w nim jeszcze przed zebrany ludem  
Wino w krew Boską przemieniono cudem,

Dziś z niego ciało rozdawano Pańskie,  
 By na bój wzmoćnić męstwo chrześcijańskie.  
 Widzi nakoniec ów tłum rozbójników  
 Dwanaście srebrnych i wzniosłych świeczników  
 Co na ołtarzu w świetnym stoją rzędzie,  
 Łup to ostatni i najdroższy będzie.

## XXXIII.

I już najbliższy z szturmującej roty  
 W dłoń świętokradzką chwyta kielich złoty,  
 Kiedy Minotti rękę swoją zniża  
 I do ukrytych prochów świecę zbliża.

Ogień!

Wieża — sklepienie, — dach — ołtarze — trupy,  
 Święte naczynia — zgromadzone łupy,  
 Żywi — umarli — Turki — Chrześciany  
 I cały gmach ten, rozdarty, strzaskany,  
 Lecą z straszliwym ku niebu łoskotem,

Rykiem i grzmotem!

Walił się Korynt, mury zapadały,  
 Na chwilę morskie cofnęły się wały,

Góry się wstrzęsły jak w trzęsieniu ziemi.  
Z tysiącznych łomów szczęty strzaskanemi,  
Wśród dymów, ogni niezmierzonej chmury,  
Wybuch ten w górne zaryknał lazury!  
Popiół jak śnieżna sypie się nawała,  
Dzielných rycerzy poszarpane ciała  
Czarne jak węgle i na części zdarte  
Leżą po całym lądzie rozpostarte.  
Kilka z tych trupów aż w zatokę padło,  
Rozbite niemi morskich wód zwierciadło  
W wielkie tysiączne zmarszczyło się koła;  
Lecz któż te ciała, kto rozpoznać zdoła,  
Któremi zdala ów nadbrzeg zasłany?  
Któż są? czy Turki, czy téż Chrześciany?  
Matek wołajcie, niech powiedzą matki!  
Ach! gdy swe jeszcze kołysały dziatki  
I w ciszy patrząc na ich sen uroczy,  
Uśmiechające po nich wiodły oczy,  
Mogłyż przewidzieć, by te drobne ciała  
Dziś jedna chwila tak rozszarpać miała,

Że już i miłość nie pozna matczyna  
Pod sercem niegdyś noszonego syna,  
I w tym tak sprośnym, zwęglonym potworze  
Ledwie człowieka domyślić się może.

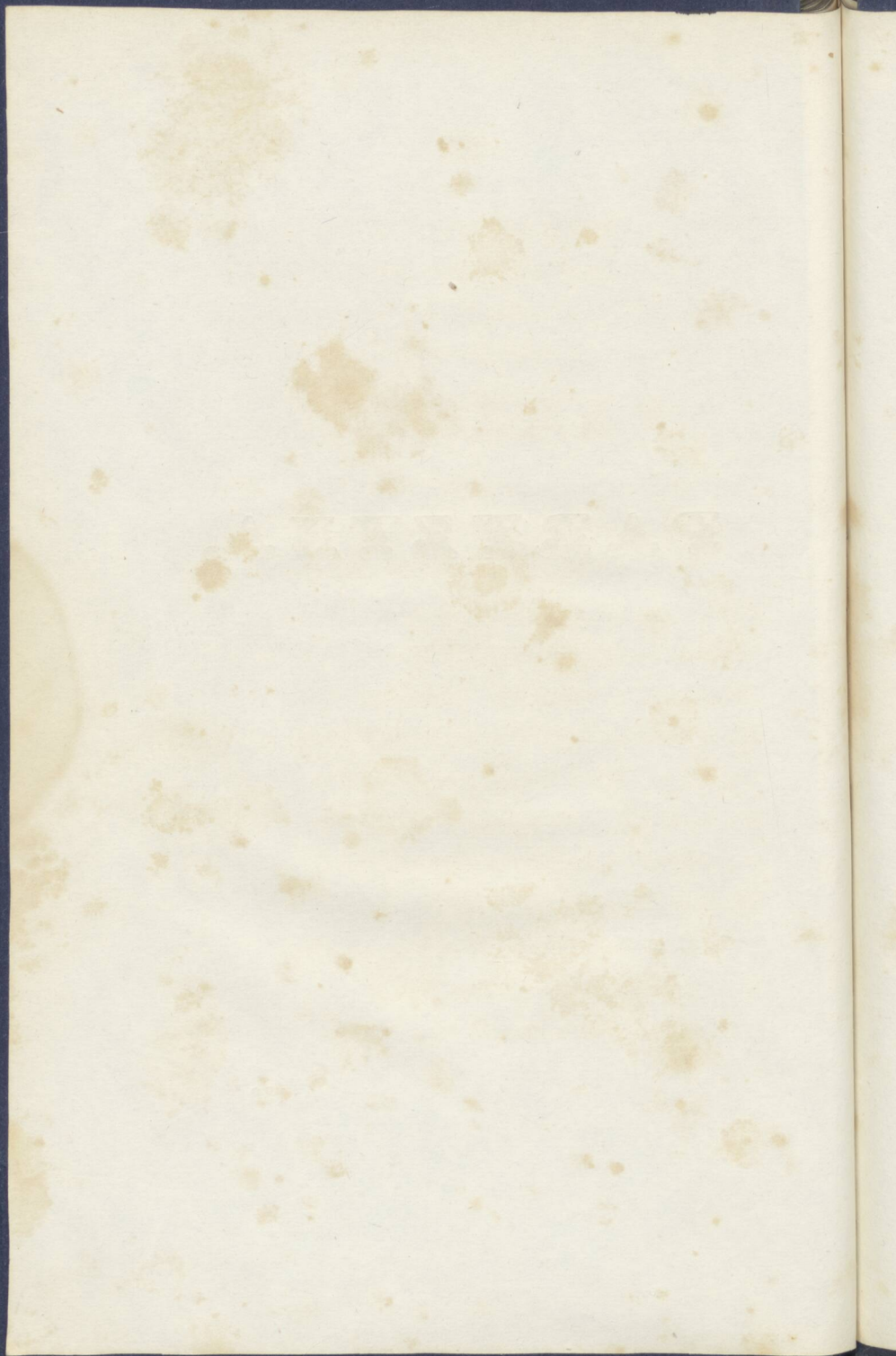
Głazy wybuchłe i lecące gradem,  
Ciężkim w głąb ziemi zaryły się spadem,  
Mnóstwo potężnych, rozrzuconych bali  
Czerni się, dymi i wciąż jeszcze pali.  
Trzęsącym ziemię przerażone grzmotem,  
Wszystko co żyje, trwożnym znika lotem,  
Pierzcha ptak leśny, psy spłoszoną zgrają  
Na wpół już zżartych trupów odbiegają,  
Wielbłąd się z ręki wyrzywa człowieka,  
Wół jarzmo łamie, zrzucą i ucieka,  
Koń pierzcha, pędzi w przestrzeń nieprejrzaną  
Z pękniętym pasem i uzdą zerwaną.  
Wilki dalekiem wyciem się ozwały  
W górach, co ciągle hukiem twierdzy grzmiały.  
Orzeł się jeży, własne rzuca dzieci,  
Zrywa się z skały i ku słońcu leci,

Czarne go kłęby dymów gonią, duszą,  
I do wyższego coraz lotu muszą,  
Wzbija się — pędzi — krzyczy strachem zdjęty.....  
Tak to był Korynt stracony i wzięty.



P A R Y Z Y N A .

---



## PARYŻYNA.

---

**O**to godzina, gdzie z pośród drzew cienia  
Najuroczniejsze słowik leje pienia,  
Gdzie tysiąc zakłęb miłośnej osnowy  
Zdają cichemi rozplywać się słowy.  
Głośnień zdrój płynie, wiatr milěj szeleści,  
Dźwiękiem ich ucho samotne się pieści,  
Každy kwiat lekko wonna skrapia rosa,  
Pierwszemi gwiazdy iskrzą się niebiosą,  
Wszystko ciemniejszą przybiera osłonę  
I błękit wody i drzewo zielone,  
A na lazurze to światło pół-mgliste  
Tak mile ciemne i tak ciemno-czyste,

Co po skonaniu dnia jeszcze jaśnieje,  
Gdy księżyc wschodzi a zorza blednieje.

Ale nie zdroje spadające nęcą  
Z złotych jój gmachów małżonkę księżęcą,  
Nie na to nocnym powierza się ceniom,  
Aby gwiazdzistym dziwić się sklepieniom.  
Do gajów Esta Paryzyna wchodzi,  
Ale nie kwiatów woń ją tam przywodzi:  
Słucha i czeka — nie słowicznych jęków,  
Choć równie słodkich oczekuje dźwięków.  
Ktoś się w gęstwinę śmiałą wciska nogą,  
Lica jój bledną, serce bije trwogą....  
Wtém ciche słowo wsuwa się miłośnie,  
Wraca rumieniec i pierś szczęściem rośnie,  
Chwila już tylko — jedna chwilka mała,  
Ujrzy kochanka — stało się, ujrzała.

I czémże dla nich świat, ziemia, niebiosy,  
I wszyscy ludzie, wszystkie zmiany, losy,  
Martwi, jak gdyby już byli zmarłemi,  
Na wszystko w koło — nad niemi — pod niemi —  
Jak gdyby wszystko już znikło w téj chwili,  
I oni tylko wzajem w sobie żyli.  
Ileż to ognia w ich westchnieniach pała!  
Ach! gdyby radość ta zwolnieć nie miała,  
Wkrótceby szczęścia zniszczone nadmiarem  
Serca ich własnym spłonęły pożarem.  
Mogliż sen marząc tak ognisty, luby,  
Pomnieć na zbrodnię lub lękać się zguby;  
Któżby w téj burzy, téj uczuć nawale  
Hamował wrzące namiętności fale,  
Któż wówczas myśli jak czas ten przelotny?  
Przecież już uszedł i uszedł niezwrotny;  
Tak się to człowiek ze snu szczęścia cuci,  
Wprzód nim się dowie, że już mu nie wróci.

Smętném się, rzewném żegnają obliczem  
Z minionej winy miejscem tajemniczém.  
Mają nadzieję — przyrzekli, że wrócą,  
Przecież jak wiecznym rozdziałem się smućą.  
Ileż to westchnień i uścisków długich....  
Jak jedne usta przyrosły do drugich!  
Wówczas gdy pełném światłem blask księżycy  
Z grożących niebios na jój spada lica,  
A każda gwiazda, świadek jój niewiary,  
Zda się ją winić i przyzywać kary.  
Ten nawał westchnień — ten uścisk tak czuły  
Silnie do miejsca zbrodni ich przykuły.  
Lecz już czas nagli i rozstać się muszą,  
Z drżącą więc, ciężką rozchodzą się duszą,  
Skryty dreszcz trwogi krew ich lodem ścina  
I pierwszy zbrodnię już karać zaczyna.

Hugo na łoże samotne się schronił,  
Skąd tęskną myślą za kochanką gonił,  
I ona także swe niewierne skronie  
Na ufném męża złożyła już łonie.  
Lecz jakaż sen jój klóci tajemnica,  
Jakaż to burza uczuć barwi lica?  
Cicho się senném odzywa imieniem,  
Którego we dnie wyrzechy nie śmiała,  
Miłośném męża przyciska ramieniem  
Do serca — które nie dla niego pała.  
Zrywa się Azo uściskiem zbudzony,  
Poi go widok sennych marzeń żony;  
Jakże się mile tą pieścizotą łudzi,  
Która w nim tyle dawnych wspomnień budzi,  
Jakże rozrzewnia go ta miłość tkliwa,  
Która się nawet i w snach jój odzywa.

Lekko do swego przytula ją łona,  
Sennym się słowom przysłuchuje w ciszy....  
Lecz z kąd ta nagła bladość, dreszcz Azona,  
Rzekłbyś że trąbę Archanielską słyszy.  
Mniej ona strasznym grzmotem go przeniknie  
Kiedy nad jego grobowcem zaryknie,  
I gdy na całą wieczność zbudzonego  
Przed niebios, ziemi wezwie go Sędziego!  
Jeden dźwięk cichy sennego wyrazu  
Całe mu szczęście rozproszył od razu,  
Jedno to imię świadczy zbyt dowodnie  
I jego hańbę i małżonki zbrodnię.  
Czyjeż to imię? — jak gdy groźne wały  
Nagle w zburzonym zagrzmią oceanie  
I tak rozbitem uderzą o skały  
Że gdy raz padnie, już nigdy nie wstanie;  
Taką to sromu i hańby nawalą  
Imię to wstrzęsło jego istność całą.  
Czyjeż to imię? — ach! krew się w nim ścina....

Imie Hugona, imie jego syna,  
Syna zwiedzionej młodych lat kochanki  
Zdrajcy z nieszczęsnej zrodzonego Bianki,  
Co się tak płocho dała wieść do zguby  
Nigdy prawemi nie złączona śluby.

Chwyta za sztylet — na pól go dobywa....  
I znowu zwolna w głębię pochwy splywa.  
Niegodna życia! — lecz czyjże ręki  
Te tak urocze nie rozbroją wdzięki?  
Jakże ją zabić — jak zwłaszcza w tę chwilę,  
Kiedy się we śnie uśmiecha tak mile?  
Nie budzi żony — ale tak w jej lice  
Ostrzem piorunu gniewne wrył zrenice,  
Że gdyby nagle roztwarła powieki  
Mrozem by śmierci ścięły się na wieki.  
Światłem wiszącej lampy ojaśniona  
Lśni się kroplistym potem skroń Azona,

Kiedy wtém cichszy sen ujmuje żonę....  
Nie wie nieszczęsna, że jój dni zliczone!

I z ranném słońcem Azo ślédzi, pyta,  
Lęka się, przecież wieść za wieścią chwyta,  
Aż wreszcie wszystko już widzi dowodnie  
Przyszłość mąk swoich i małżonki zbrodnię.  
Długie wspólne przestępstw Paryzyny  
Chcąc przed Azonem oczyścić się z winy,  
Na nią zwalają zbrodnię, wstyd i karę.  
Wszystko już, wszystko odkryte nareście,  
Jasne i zgodne wyznania niewieście  
Pełną Azona uzyskały wiare.  
Zaprzestał badań — dosyć już z tych wieści  
Serce i ucho wypily boleści!

Nie cierpiał zwłoki. W radnych panów gronie  
Strażą, rycerstwem, dworem otoczony,  
Władzca ich berła i dziedzic korony  
Na starożytnym Estów zasiadł tronie.  
Stoją przed sądem Hugo, Paryzyna;  
Jakże jest piękną — jak oboje młodzi!  
Hugo — o Boże! — ojciecże to syna  
W takiej postaci przed siebie przywodzi?  
Odjął mu oręż, ręce okuł w pęta,  
I sam swój straszny wyrok mu ogłosi —  
Hugo choć milczy, lecz dusza niezgięta  
Zbroi się w dumę i nad los swój wznosi.

Stoi i ona niema, blada, drżąca,  
Stoi na straszny wyrok czekająca;  
Nie taką była gdy w świetność godową  
Po lśniących salach wdzięczną ócz wymową

Radość i szczęście rozsylała wszędzie,  
Gdy dumą było stawać w sług jój rzędzie,  
Gdy każda piękność chcąc piękniejszą zostać  
W słodkie jój głosu wuczala się dźwięki,  
W jój chód, w jój układ, jój uroczą postać  
I w jój królewskie i godność i wdzięki.  
Ach! gdyby wówczas jedną łzę zroniła,  
Krzywda jój wszystkich serc by krzywdą była,  
Tysiąc rycerskich powstałoby męży,  
Tysiąc błyszczących wzniosło się oreży;  
A dzisiaj jaka w niej i drugich zmiana —  
Możeż co kazać — i będzież słuchana?  
Damy — rycerze — cały dwór dokoła —  
Spuszczają oczy — milczą — marszczą czoła,  
Sroży się dumna na ich ustach wżgarda  
I każda z twarzy tak zimna i twarda!  
Ten Hugo nawet, co do jój pomszczenia,  
Zwykł tylko czekać na błysk jój spojrzenia,  
Co gdyby więzy swe na chwilę zrzucił,  
Lub by sam poległ, lub jój wolność wrócił;

Ten Hugo nawet, tak drogi, kochany,  
Stoi ciężkimi obarczon kajdany,  
Nie patrzy na jój łzy w oczach wezbrane  
Bardziej dla niego, niżli dla niój łane....  
Ach! wczoraj jeszcze błękit żyłek drobnych  
Krążył po śniegu tych powiek nadobnych,  
A które były tak miłej białości  
Że się zdawały wzywać ust miłości,  
Dziś tak palące, żółkłe i zwiędniałe,  
Nie tyle słońią, ile cisną oczy,  
Których spojrzenie łzami ociężałe  
Coraz się bardziej tłumem łez tych mroczy.

Byłby i Hugo nad nią łzę uronił  
Gdyby tak licznych świadków się chronił,  
Całą męczarnię w swoim zawarł łonie,  
Dumne, posępne w górę wznosił skronie;  
Umarłby z wstydu gdyby swój katuszy

Przed okiem świata nie mógł ukryć w duszy,  
Na nią jednakże nie śmiał rzucić wzroku;  
Stała mu w myśli okropność wyroku,  
Zbrodnia—wstyd—miłość—pamięć dni tak świetnych,  
Straszny gniew ojca — wzgarda sere szlachetnych,  
Ziemska — wieczysta kara ciężkiej winy,  
A zwłaszcza, zwłaszcza, przyszłość Paryzyny!  
Nie — nigdy jego nie mogły źrenice  
Spojrzeć się na jój trupio-blade lice,  
Ryknąłby z żalu i przeklął tę chwilę,  
Przez którą na nią ściągnął nieszczęść tyle!

Wczoraj się jeszcze, tak Azo zaczyna,  
Z chlubą patrzyłem na żonę i syna,  
Dziś z tak drogiego marzenia ockniony  
Dziś jeszcze będę bez syna i żony.  
Czeka mię ciężar dni pustych, samotnych....  
Lecz niechaj losy spełnią się zacięte.

Któżby nie karał przestępstw tak sromotnych?  
Nie jam to zerwał te węzły tak święte.  
Stało się — Hugo, wyrok twój wydany,  
Wszystko gotowe — kapłan przywołany,  
Pójdiesz zapłatę zbrodni twój odebrać.  
Nim pierwsze w górze gwiazdy zajaśnieją,  
Staraj się w niebie łaskę twą wyżebrać,  
Tam tylko możesz sięgać twą nadzieją,  
Gdyż na téj ziemi nigdzie się zmieści  
Twoja sromota przy mojej boleści.  
Żegnam cię — nie chcę patrzeć na śmierć syna.....  
Lecz ty — ach! gniew mi krew i usta ścina —  
Ty, której sercem sama płochosć władnie,  
Kobieto, czarną niewiarą splamiona,  
Ty patrzeć będziesz, jak ta głowa spadnie:  
Nie ja — ty sama zabijasz Hugona.  
Jeżli nie skonasz w tak okropnej dobie,  
Ciesz się twém życiem, zostawiam je tobie.

Skończył, twarz zakrył. — W każdej czoła żyłe  
Z taką potęgą bije krew wezbrana,  
Jak gdyby z żył tych ciągle wypierana,  
Ciągle w zdwojonej powracała sile.  
Zwolna nad okiem drżącą ciągnie rękę  
Jak gdyby swoją chciał ukrywać mękę,  
Kiedy wtém Hugo dłoń okutą wznosi  
Ojca o wolność przemówienia prosi,  
A gdy ten milczy, ozwać się nie wzbrania,  
Rzecz: — Nie bojaźń do tych słów mię skłania,  
Widziałeś nie raz, jak na polu chwały  
Krwia twoich wrogów zbraczałem się cały,  
I jak ten oręż w każdej działał walce  
Który mi twoi wydarli słuźalce.  
Dłoń ta w twój sprawie więcej krwi przelała,  
Niż twój kat z mego wytoczy jój ciała.  
Dałeś mi życie i odbierz je panie,  
Żadnych ja dzięków nie składam ci za nie.  
Dar ten był źródłem ciągłego cierpienia,  
Wszystkie mi krzywdy matki przypomina,

Zdeptaną miłość i hańbę imienia,  
Smutne, okropne dziedzictwo jój syna.  
Lecz grób ją schłonał — w którym już niezwłocznie  
Ten syn jój, a twój współzalomnik spocznie....  
Wiecznie tam będą z swych mogił świadczyły  
Krwawe łzy matki, moja krew przelana,  
Czém tu dla ciebie wszelkie węzły były  
I czułość ojca i miłość młodziana!

Skrzywdziłem ciebie — słuszna zemsta, kara, —  
Krzywdą to tylko krzywdę odplaciła.  
Ta nowa — druga dumy twój ofiara  
Mnie, jak wiesz, wprzódę przeznaczoną była.  
Ledwieś ją ujrzał, uwielbił jój wdzięki,  
Jużes niegodnym uznał mię jój ręki,  
I tak mię podłym wyszydzałeś rodem  
Jak gdyby nie był zbrodni twój dowodem.  
Nie mogłem wprawdzie zbyt nisko zrodzony  
Do świetnej Estów zasięgać korony,  
Kilka lat przecież, a ten syn nieprawy  
W wiecznejby wówczas zajaśniał ozdobie,

I wszystkie laury, wszystkie wieńce sławy  
Samemu tylko byłby winien sobie.

Mając mój oręż — przy tém sercu, dłoni,  
Byłbym ja chęłmu takiego się dobił,

Jaki monarszój tyłu Estów skroni  
Przez cały ciąg ich wieków nie ozdobił.

Nie zawsze rycerz rodem znamienity  
Najzaszczytniejszych ostróg się dobijał,  
Dzielny mój rumak ostrzem bodźca bity,

Ileż to wodzów i książąt przemijał,  
Gdym z zwyciężkami uderzając krzyki  
Z imieniem Esta spadał w wrogów szyki!

      Nie bronię zbrodni — nie będę cię wzywał,  
Byś dla mnie kilka dni, godzin odrywał  
Od tego czasu, co już w krótkiej dobie  
Po moim zimnym ma przepłynąć grobie.  
Znikły te krótkie dni młodzieńczych szaly,  
Jak trwać nie mogły, tak téż i nie trwały.  
Podłym był ród mój, podlém imie moje,  
Mógłeś je podnieść, uzacnić oboje,

Lecz byłbyś mniemał, że ponizas się;  
Przecież twarz tego podłego Hugona  
Niejednym z twoich rysów zaszczycona,  
A dusza jego cała wzięta z ciebie.  
Z ciebie to wzięłem, ten umysł niezgięty —  
Lecz zkądżeś zadrzał? — tak jest, z ciebie wzięty.  
Z ciebie to we mnie przeszła nieodmienna  
Ta dzielność w boju, ta dusza płomienna.  
Nie samo tylko życie mi nadałeś,  
Całego siebie w moję istotę wlałeś;  
Patrz, jakim zbrodnia owocem obdarza,  
Zbrodnięś mię spłodził i masz téż zbrodniarza.  
Prawy to plód twój, co jak ty w swym szale  
Najświętsze węzły potargał zuchwale.  
Co zaś do życia, któreś mi tu nadał  
Na to, abym je tak wcześniej postradał,  
Tylem je cenił, ile ty sam twoje,  
Gdyś zwieńczon hełmem rzucał się na boje  
I gdyśmy jak dwa złączone pioruny  
Grzmiące po trupach puszczały bieguny.

Niczém już wprawdzie jest ta przeszłość cała  
Przyszłości by nawet przeszłością się stała,  
Żałuję przecież, że nie legł owcześnie;  
Gdyż mimo żeś mię skrzywdził tak boleśnie  
Wydarł kochankę, a matkę zabiłeś,  
Dla serca mego zawsze ojcem byłeś.  
Wyrok twój dla mnie, acz srogi, straszliwy,  
Choć z twych ust wyszedł, przecież sprawiedliwy.  
Tak kończę życie jak było zaczęte,  
Zbrodnią nadane, a hańbą zamknięte:  
I syn i ojciec zgrzeszyli wzajemnie,  
Obu więc razem musisz karać we mnie;  
Świat zbrodnię moję w wyższym stawia rzędzie,  
Ale Bóg jeszcze rozsądzać nas będzie.

Skończył i ręce na piersiach zakłada,  
Thuką się dzwieczne kajdan ich ogniwa,

Cieężko na serca wodzów brzęk ten spada,  
Którym wstrząśnięty łańcuch się odzywa.  
Kiedy wtém wszystkie spojrzenia porwała  
Nieszczęsna piękność małżonki Azona,  
Stoi z wybladłym licem, oniemiała,  
Żyjące źródło niedoli Hugona.  
Oczy jój w całej pełni roztwarte  
I jakby w jedno tylko miejsce wparte;  
Nigdy spuszczeniem powiek nie ocienia  
Przykrój jasności straszego spojrzenia.  
Dziwnie się białość roztacza szeroka  
W koło ciemnego błękitu jój oka,  
Które tak zimne, martwe, osłupiałe,  
Jakby w niém życie wymarło już całe.  
Niekiedy tylko z wezbranój źrzenice  
Tak wielka kropla spuszcza się na lice,  
Że każdy z widzów dziwi się, zdumiewa,  
Zkąd oko ludzkie taką łzę wylewa.  
Chce się odezwać — boleść głos przydusza  
W bezkształtnym jeszcze wydobyty dźwięku,

Przecież w tym głuchym, nieforemnym jęku  
Cała nieszczęsnej wylała się dusza.  
I znów ucicha — znów usta otwiera,  
A głos jój długim krzykiem się wydiera  
I w téjże chwili tak runie o ziemię  
Jak kolos z swojej podstawy zwalony,  
Nie jak żyjące lecz bezwładne brzemie  
Marmur — grobowy posąg Esta żony!  
Któżby w niej poznał tę wdzięczną grzesznicę,  
Ten war miłości, tę żądz nawalnicę,  
Ślepo się w zbrodni rzuciła bezdroże  
A swój rozpaczy, wstydu znieść nie może.  
Lecz jeszcze, jeszcze żyje i oddycha —  
Ach, czemuż nawet i śmierć ją odpycha;  
Jakaż w niej ciemność — jak okropna zmiana....  
Pękła nic myśli boleścią zerwana!  
Jak ów łuk silny deszczem rozwolniony  
Zdała od celu błędne strzały ciska,  
Tak i jój umysł męczarnią zburzony  
Dzikimi tylko marzeniami błyska.

Zmarła jój przeszłość — a przyszłość szcerniała  
Takiem niekiedy światłem się rozświeci  
Jak kiedy nocna zaryknie nawała,  
A błysk jój czarną pustynię przeleci.  
Czuje, że dusza jój jak lodem ścięta,  
Że ciężar jakiegś tłoczy ją boleści,  
Że się w tém jakiś wstyd i zbrodnia mieści,  
Że ktoś ma umrzeć, lecz kto? — nie pamięta.  
Żyjeż — nie żyje? — istotnież to ziemi,  
Ziemi téj stopy dotyka się swemi —  
Nieboż to widzi? — ludzież to tym wzrokiem,  
Czy téż szaleńcy grożą jój dokoła,  
Jój — co niedawno śmiejąc się okiem  
Tysięczne w koło rozjaśniała czoła?  
Wszystko w oblędnej duszy powikłane,  
Zmącone czucia i myśli stargane,  
Kłóćą się dziwne bojaźni, nadzieje,  
To się rozrzewnia, to znów dziko śmieje,  
Radość jój w burzę, boleść w szal się zmienia,  
Walczy z widmami straszego marzenia,

Zda się, że jakiś czarny sen ją ludzi....  
Sen to szaleństwa — już się nie przebudzi.

Smętno-ciężkimi z wieży jęcząc tony,  
Zwolna klasztorne kołyszają się dzwony.  
Jakże boleśnie dźwięk ich serca rani —  
Słuchaj! hymn śmierci śpiewają kapłani.  
Śpiew ten się zwykle za umarłym wznosi,  
Lub też żyjącym bliską śmierć ich obnosi.  
Hugo to, Hugo spełnia swój smutny,  
Jemu to nuca — jemu spiż ta jęczy —  
Przykre odgłosy i widok okrutny....  
Na gołej ziemi przed kapłanem klęczy.  
Przed nim pień sterczy — a w koło żołnierze....  
Kat obnażoną ręką topór bierze,  
Nad dzielnym, szybkim przemyślając cięciem,  
Lekkiem po ostrzu przeciąga dotknięciem,

Liczne się widze w niemy tłum gromadzą,  
Patrzeć jak syna z woli ojca zgładzą.

Mile wieczornym przyglądać się wdziękom  
Gdy się do zająścia zbliża słońce letnie,  
Nad tym dniem krwawym wzniosło się tak świetnie  
Jakby się tylu urągało mękom.  
Zlewa się jasno światło zachodowe  
Na potępioną winowajcy głowę,  
Gdy ten przy swoim klęczący kapłanie  
Win się swych zwierza i żalując za nie,  
W całej świętości skruszonego ducha  
Tych słów tak błogich i wszechmocnych słucha  
Których dźwięk z Boskiem przebaczeniem sływa  
I wszystkie plamy duszy ludzkiej zmywa.  
Żywem się światłem ta głowa promieni  
I ten włos wdzięcznych i ciemnych pierścieni,  
Który tak białą osłania mu szyję —

Lecz stokroć żywszy odstrzela się promień  
Z toporu kata — co jak groźny płomień  
Strasznym, okropnym wkoło blaskiem bije!  
Gorzką jest, gorzką ta krwawa godzina,  
Twarde się nawet serce trwogą ścina:  
Słuszny jest wyrok i zbrodnia straszliwa,  
Wszystkich jednakże wstręt i dreszcz przeszywa.

Skończył już wszystkie modły i pokuty  
Śmiały zwodziciel zdradnej Paryzyny,  
Zliczone wszystkie różańce i winy,  
Życie ostatniej dobiega minuty.  
Zdjęty na rozkaz płaszcz na ziemi składa,  
Pod ostrzem nożyc gęsty włos odpada,  
Wszystkie przy samej głowie mu ucięto.  
Miłe mu szaty i pamiątki zdjęto,  
Tój szarfy nawet drogą szytą dłonią  
Do grobu z sobą zabierać mu bronią.

Wszystko już, wszystko na zawsze złożone....  
Kładą nakoniec na oczy zasłone,  
Ale nie — nigdy! — zniósł on obelg tyle,  
Lecz téj ostatniéj krzywdy znieść nie umie,  
Wszystkie uczucia stłumione na chwilę  
W téj obrażonej zbudziły się dumie.  
Jemuż to będzie, jemu kat ubliżał,  
Jegoż to meztwo tą zasłoną zniżał,  
Zadrżałże kiedy przed śmierci widokiem?  
Nie — nie — zawoła, krwi, życia nie bronie,  
Jużeście moje skrępowali dłonie,  
Niechże przynajmniej z wolném ginę okiem.  
Uderz! zakrzyknie — i w téj samej chwili  
Kłęka i śmiało nad pniem głowę chyli,  
Uderz! — i ledwie tego dorzekł słowa,  
Spadł topór — ścięta potacza się głowa,  
Krwia buchający kadłub na wznak runął  
I z każdéj żyły silny deszcz krwi lunął,  
Usta chwilowym bólem się skrzywiły,  
Zadrgnęły oczy — i już wiecznie wryły.

Umarł jak umrzeć występnemu trzeba,  
Ni się wynosił, ni też trwogą podlił;  
Wyznał swą zbrodnię, korzył się i modlił  
I nie rozpaczał o litości nieba;  
A gdy tak święta chyliła go skrucha  
I z ziemskich uczuć już oczyścił ducha,  
Czemże dlań były wśród owjej godziny  
Straszny gniew ojca, miłość Paryzyny?  
Żal, skargi, rozpacz, — wszystko Bóg przemagał,  
Każdą Go myślą, każdym słowem błagał,  
Prócz tych słów kilku, które z jego łona  
Wydarła nagle дума obrażona,  
A które, jak na pożegnanie świata  
Wyrzekł, już prawie pod toporem kata.

Jak martwe trupy, tak bez tchu i głosu  
Stały dokoła świadki jego losu,

Kiedy wtém nagle przeszył tłum ten liczny  
Mroźnego dreszczu piorun elektryczny,  
Gdy na tę miłość i tak młode lata  
Z szybkością błysku spadał topór kata.  
Tysiąc się drących z piersi jęków ścięło  
Nagle urwało, w głębię serc cofnęło,  
Najsłabszy nawet wykrzyk przerażenia  
Nie skłócił ciszy straszego milczenia,  
Sam topór głuchym przerwał je odgłosem,  
Gdy się aż do pnia silnym wrąbnał ciosem.

Cóż to był za krzyk — tak dziki — nieznośny —  
Tak przeraźliwy — tak boleśnie głośny?  
Takim to bólem ryczy pierś matczyną  
Gdy niespodziana śmierć jój wydrze syna,  
Tak okropnemi w niebo sięga jęki  
Dusza na wieczne potępiona męki:  
Wszystkie się oczy zwróciły w przestraczu  
Ku górnym oknom książęcego gmachu  
Lecz wszystko nagle w głuchój znikło ciszy:  
Nikt nic nie widzi i nikt nic nie słyszy.

Krzyk ten okropny był to krzyk niewieści,  
Wyras tak srogiój, nadludzkiej boleści,  
Że każdy w niebo korne wznosił ręce,  
By śmierć tak strasznej chciało zesłać męce.

Nigdzie i nigdzie od owój godziny  
Już nie ujrzano znikłej Paryzyny,  
Nigdy i nigdy wspomnianą nie była  
Jak gdyby nigdy na świecie nie żyła;  
Jakby słów strachu, przekleństw lub zhańbienia,  
Tak się lękano dźwięku jój imienia.  
Wiecznie dla syna i dla żony zradnej  
Usta Azona stały się niememi,  
Nie mieli grobów, ni pamiątki żadnej,  
W niepoświęconej złożono ich ziemi,  
Taki przynajmniej był udział Hugona;  
Skruty los bowiem małżonki Azona  
Tak był przed każdym tajony człowiekiem

Jak proch grobowém przywalony wiekiem.  
Poszłaż w klasztorne schronić się ukrycie  
Nieba przez twarde dobijać się życie,  
Przez lata cierpień, przez modły i posty  
I lzy bezsenne i pokutne chłosty;  
Sztyletże skarał zbrodnię jój niewiary,  
Czy téż z zatrutój śmierć wypila czary,  
Czy téż Bóg zrządził tak przez litość swoje,  
Aby cios jeden zgładził ofiar dwoje,  
By uderzając współnika jój winy,  
Uderzył razem w serce Paryzyny  
I tak gwałtowném rozdarciem jój duszy  
Od długiej życia uwolnił katuszy;  
Nikt tego nie wie, nikt wiedzieć nie będzie,  
Zwodneby tylko ludziły go wieści,  
Lecz na cóż w płonnym gubić się oblędzie,  
Życie zaczęła, skończyła w boleści.

I Azo inną żonę wybrał sobie  
I znowu hoże syny mu wzrastały,  
Lecz żaden nie był tak piękny, tak śmiały,  
Jak ten, co zdawna w swoim więdniał grobie.  
Zimném on wzrost ich przemierzał spojrzaniem,  
Lub téż z tłumioném patrzył się westchnieniem,  
Lecz nigdy łzą mu nie błysła źrzenica,  
Uśmiech chmurnego nie rozjaśnił lica,  
Czoło mu piękne, wzniosłe i szerokie  
Czarna myśl wewnętrznym pokrajała bojem  
W bruzdy przedwczesne, liczne i głębokie,  
Gorącym cierpień wyorane krojem,  
Zarosłe blizny rozkrwawionój duszy,  
Skutki zbyt długiej i ciężkiej katuszy!

Żal, boleść, radość — wszystko w nim zamarło,  
Długie mu tylko — ciężkie dni zostały,  
Oko co nigdy snem się nie zawarło,  
Martwość na wszelkie wzgardy i pochwały,  
Serce, które się samo siebie bało,

Zmłczeć nie mogło — ustąpić nie chciało,  
I kiedy postać przybrało spokojną  
Najgłębszą myśli, uczuę wrzało wojną.

Najgrubsze nawet i najtwardsze lody  
Powierzchnią tylko każdą zetną wody,  
Żywy nurt ciągle spodem pruje łożę,  
Płynię i nigdy upłynąć nie może.  
Twardego hartu był umysł Azona,  
Nie mógł on nigdy z swego wydrzeć łona  
Dręczącój myśli wrosłój zbyt głęboko.  
Próżno, ach! próżno nasza tłumi pycha  
Łzę, co się silnie w nasze ciśnię oko,  
Rosa ta serca nigdy nie wysycha:  
Każda łza, którój oko nie wyroni,  
W głąb swego źródła cofa się i chroni,  
Nie tam jej pierwszój czystości nie zmaça  
I chociaż nigdy na jaw niedobyta,  
Niewyplakana, przecież żywa, wrząca,  
Tém droższa nawet im bardziej ukryta.

Musił on często w swoim tłumie łonie  
Żal się budzący po synu i żonie;  
Nie mógł ten krwawy dwóch ofiar morderca  
Zapełnić czczości pustego już serca;  
Żadnej nadziei spotkania się z temi,  
Co już duszami złączyli się swemi:  
A chociaż widział tak jasno, dowodnie,  
Że słuszną karą życia ich pozbawił,  
Że własne na nich ściągnęły ją zbrodnie,  
Przecież jad ciągły jego starość trawił.  
Tak gdy roztropne żelaza użycie  
Drzewo z schorzałych gałęzi oczyści,  
Drzewo to w nowe wysila się życie  
I majem bujnych ozielenia liści,  
Lecz kiedy nagły piorun w nie ugodzi  
I ogień żywe strawi mu ramiona,  
Pień pozostały usycha i kona  
I już żadnego listka nie urodzi.



## WIĘZIEN CZYLLONU. \*)

---

\*) *Poema to, umieszczone już w pierwszym tomie moich Poezyi, powtórnie tu wydrukowaném zostało dla uzupełnienia w jednym zbiorze przekładów moich z Birona.*

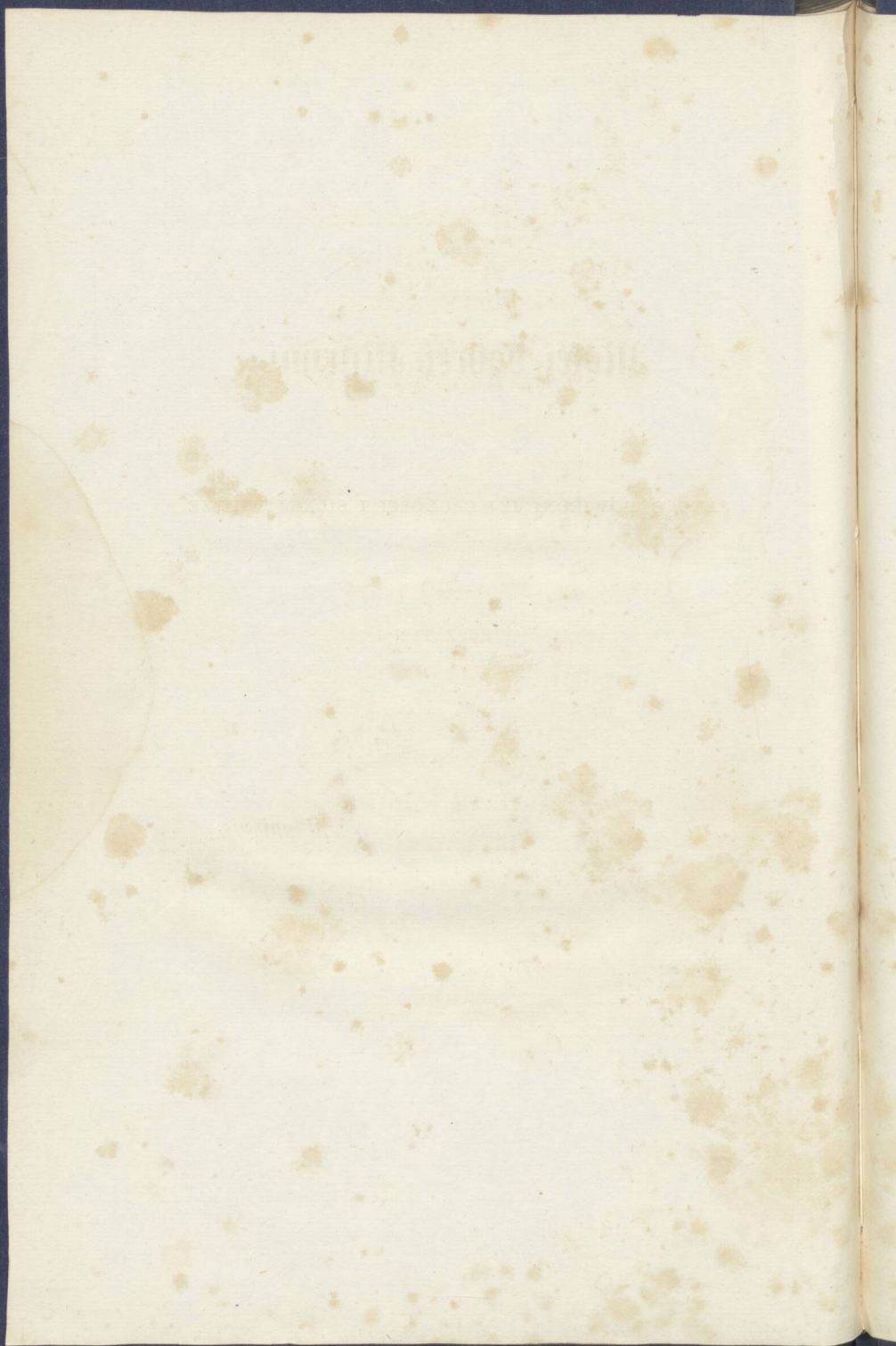
CHRISTIANITY

# Mojej dobrej Maryni

JAKO ODPOWIEDNI JÉJ CZUŁOŚCI I SILNÉJ WIERZE

WIERSZ TEN

*przypisuję.*



## WIĘZIEŃ CZYLLONU.

---

### I.

**W**los mój osiwiiał — lecz nie wiek zgrzybiały,  
Ni ten grom nagłej trwogi, przerażenia,  
Co przez noc jedną ludzi w starców zmienia,  
    Taką mu białość nadały.  
Schylony jestem — lecz nie prace, znoje,  
Podła to gnuśność zgięła postać moję,  
Strasznym był los mój — dźwigałem kajdany,  
Zostałem z ziemi, powietrza wygnany,  
    W czarną wtrącony otchłanią!  
Lecz że to było w wiary méj obronie,  
Chętniem do więzów moje podał dłonie,  
    Byłbym nawet umarł za nią.

Ojciec za wiary tój cnotliwy opór  
Poddał swą głowę pod katowski topór,  
A jak współników tój tak świętój winy,  
Wszystkie do więzień powtrącano syny.  
Z siedmiu nas — jeden zostałem na świecie,  
Ojciec był w leciech, bracia w wieku kwiecie;  
Wszyscy tój w zgonie, czém i w życiu byli,  
Wrogów się swoich wściekłością chlubili.  
Jeden w płomieniach — dwóch na polu sławy  
Krew swą przelało dla tój świętój sprawy,  
Mężnie jak ojciec za Boga umarli,  
Którego nasi kaci się wyparli,  
Trzech nas wrzucono w loch czarny, straszliwy,  
Z których sam jeden pozostałem żywy.

## II.

Straszne są głębie Czyllonu więzienia,  
Siedm kolumn czarne wspiera ich sklepienia;  
Gockich tych słupów grube, śniade mury,  
Smutnie oświeca jakiś brzask ponury;

Ciągle tam bowiem przez szczelinę ściany,  
Wsuwa się słońca promyk zabłąkany,  
Promyk ten jakieś zmarłe światło ciska  
Na owe massy jaskini sromotnej,  
I jakby drżący meteor bagniska  
Snuje się, czołga po ziemi wilgotnej.  
W każdą tam z kolumn jest pierścień wpuszczony,  
W każdym pierścieniu łańcuch zawieszony;  
Zrzący ten kruszec jakby rak się wtacza,  
I takie ślady na ciele wytłacza,  
Że póty na niém zostaną niezmiennie,  
Póki mi świecić będzie światło dzienne,  
Tak nowe dla mnie, a tak przykre oku,  
Już odwykłem od słońca widoku.  
Ileżkroć weszło przez te długie lata?  
Nie wiem — gdyż odtąd już liczyć przestałem,  
Odtąd — gdym stracił ostatniego brata,  
I sam nad trupem jego żywy stałem.

## III.

Do trzech nas słupów przykuto sromotnie,  
Byliśmy razem — a każdy samotnie.  
Żaden z nas nie mógł naprzód ruszyć krokiem,  
Ni bratnich twarzy cieszyć się widokiem,  
Martwy blask bowiem, co je opramieniał,  
W jakieś je dziwne, obce twarze zmieniał;  
Tak będąc razem — przecież rozłączeni  
W oddzielnych więzach, lecz męką spojeni,  
Tęśmy przynajmniej jeszcze ulgę mieli,  
Żeśmy się wzajem mówiących słyszeli,  
I choć w tym słońca i powietrza głodzie  
Jeszcześmy mogli ku wspólnej oślodzie  
Jakąś nadziei nową roić marę,  
Jakieś legendy opowiadać stare,  
Lub o rycerzach dawnych śpiewać sobie —  
Lecz i to w krótkiej obmierzło nam dobie.  
Głos się nasz zmienił w jakiś ton grobowy,  
Głuchy i ciężki jak echo więzienia;

Zgasła już była z dźwięku naszej mowy,  
Pełność i wolność dawniejszego brzmienia;  
Zmiana ta może urojeniem była,  
Przecież srogością prawdy mię dręczyła.

## IV.

Najstarszym będąc między braćmi memi,  
W każdej smutniejszej cieszyłem jch chwili;  
Z tkliwą ja troską czuwałem nad niemi,  
Ale i oni toż samo czynili.  
Ostatni — oczu błękitnych młodzieniec  
I ztąd najdroższy ojca ulubieniec,  
Że wdziękiem wzroku podobny był matce;  
On to najbardziej serce mi rozdierał,  
Bo któżby nie był z żalości umierał,  
Taką ptaszynę w takiej widząc klatce!  
Pięknym był jak dzień w całym swym uroku,  
Gdy dzień tak piękny memu bywał oku,  
Jak orlikowi, który w niebo wzlata;  
Pięknym był jak dzień polarnego lata,

Tam gdzie ta pora w całym swym przebiegu  
Nie zna wieczoru — pora ciąгло-dzienna,  
Tak świetno-długa, słoneczna — bezsenna,  
Dziecie światłości strojne szatą śniegu!  
Tak miłym, czystym jaśniał on promieniem,  
Nigdy wesołej myśli nie zamraczał,  
Nad cudzém tylko płakał on cierpieniem,  
I w ów czas całe zdroje łez wytaczał,  
Zwłaszcza gdy nie mógł dary wesprzeć swemi  
Tak mu nieznośnych tylu nędz téj ziemi.

## V.

Drugi był równie czuły i szlachetny  
Lecz bardziej mężkich — wojennych przymiotów,  
A taką siłą i odwagą świetny  
Że z całym światem byłby walczyć gotów.  
Byłby on chętnie zginął z mieczem w ręku,  
Lecz téj powolnej nie mógł znieść katuszy,  
Więdniał na odgłos kajdan swoich szczęku,  
I coraz bardziej upadał na duszy.

Nie mniej i moja słabła już wytrwałość,  
Zawszem go przecież w nową zbroił stałość,  
By z tyłu drogich, rodzinnych pamiątek  
Ocalić jeszcze ten tak święty szczątek.  
Szczęściem dlań niegdyś były w górach łowy,  
Życiem, rozkoszą — gonić wilka, łanią,  
Czylon dla niego był piekiel otchłanią,  
A z wszystkich nieszczęść najsroźszém — okowy.

## VI.

Przy samym murze Czylonu leżąca  
Woda Lemanu, w głębi stóp tysiąca,  
Sciera się, tłucze massy ogromnemi,  
I śnieżno-biały gmach okrąża niemi.  
W podwójném muru i wody więzieniu,  
Jak w żywym grobie leży tam skazany,  
A nad nim w górze po drżącym sklepieniu  
Groźne jeziora toczą się balwany:  
Dzień i noc z głuchym warząc się łoskotem,  
Z strasznym nad nami rozbijały grzmotem,

A kiedy nieraz szturmujące w chmurę  
Wyły pod niebem wichry rozhukane,  
Czułem jak bałwan podrzucony w górę,  
Zimną przez kratę na mnie ciskał pianę.  
Trzęsła się skała, silnym bita wałem,  
Czułem jój drżenie -- sam przecież nie drżałem;  
Za szczęście bowiem byłbym śmierć poczytał  
I jak wybawcę mego z łzami witał.

## VII.

Brat mój, jak rzekłem, z tęsknoty usychał,  
Słabła nakoniec duszy jego siła;  
Wszelką on żywność od siebie odpychał,  
Lecz nie dla tego, że zbyt grubą była;  
Twarde, łowieckie, lubiący wyprawy,  
Zdawna do wszelkiej przywykliśmy strawy.  
Na miejscu mleka z kóz alpejskich doju  
Zgniłaśmy wodę mieli do napoju;  
Chleb zaś był takim, jak go z lat tysiąca  
Ciągłe oblewa więźniów łza gorąca,

Odtąd gdy człowiek pierwsze ukuł pęta,  
Bliźnich jak dzikie powięził zwierzęta.  
Lecz nie to serce jego trulo skrycie,  
Nie to mu z ciała wytrawiało życie,  
Taką mu bowiem nieba duszę wlały  
Że i w księżęcych byłby usechł murach,  
Gdyby z nich nie mógł wybiegać na skały  
Błąkać się wolny i oddychać w górach.  
Lecz na cóż straszne odwlekać wyznanie?  
Umarł niestety! — a jam nie był w stanie  
Bładój, schylonój podeprzeć mu skroni,  
Ani stygnącój jego ścisnąć dłoni.  
Próżnom wściekłością rozpaczy miotany  
Rzucał się naprzód — szarpał, gryzł kajdany —  
Umarł! — i przyszli — i zdjęli okowy  
I wykopali dół ciemny, grobowy,  
W lochu naszego martwój — zimnój ziemi!  
Prosiłem — z łzami błagałem rzewnemi,  
Aby gdzieś indziej złożyli to ciało,  
W miejscu, któreby słońce oświecało —

Dziwne marzenie! zbyt śmieszne i małe!  
Ale nie mogłem wyobrazić sobie,  
By wolne serce, nawet już zmartwiałe,  
Miało bez cierpień w takim leżeć grobie.  
Mogłem być mileczeń, bo cóż mi odrzekli?  
Zimno się śmiali — i w dół go zawlekli.  
Znikał z mych oczu ziemią pokrywany  
Ziemią beztrawną okropnej pieczary,  
Próżne mu na grób zwieszono kajdany,  
Właściwy pomnik podobnej ofiary!

## VIII.

Lecz i ów kwiatek tak wdzięczny, nadobny,  
I już tak drogi w pierwszy życia ranek,  
On, matce naszój tak mile podobny  
Braci i całej rodziny kochanek;  
On, ojca swego najdroższe marzenie,  
I dla któregom jeszcze żyć zażądał,  
Na to, bym jego łagodził cierpienie,  
A kiedyś — może — wolnym go oglądał;

On, co tak silny, czy wiarą natchnięty,  
Tak długo znosił srogość swojej doli;  
I on nakoniec jakby kwiat podcięty  
Więdniał, usychał i ginął powoli.  
Ach! jakąkolwiek kto śmiercią umiera,  
Strasznie jest patrzeć jak z ludzkiego ciała  
Zwolna, boleśnie dusza się wydziera;  
Widziałem jak się razem ze krwią lała —  
Widziałem jak się mocując z balwanem  
W szale rozpaczy walczyła z orkanem —  
Widziałem zbrodnię na łożu śmiertelném  
Jak bladła, drżała przed widmem piekielném;  
Straszne to śmierci — ta zaś cicha, rzewna,  
Lecz tak powolna — i tak smutnie-pewna.  
Więdniał tak lubą łagodnością tchnący,  
Tak mile smutny, tak cicho gasnący,  
Bez lzy, a przecież tak czuły i tkliwy  
I o mój tylko przyszył los troskliwy.  
Kwiat mu się życia na licach rozwijał,  
Jakim się zwykle młoda czerstwość wdzięczy,

Szyderstwo śmierci! — tak on gaś i mijał  
Jak nikły promień bledniejącej tęczy;  
Oko tak dziwnym blaskiem mu jaśniało  
Że i więzienie widniejszém się zdało;  
A przecież żaden żal, ni jęk bolesny,  
Żadne szemranie na ten zgon przedwczesny —  
Wspominał przeszłość — nadzieją pocieszał,  
Lecz na to tylko, by ją we mnie wskrzeszał,  
Milczałem bowiem, myśląc o mym losie,  
O tym ostatnim i najsroższym ciosie!  
I wkrótce zaczął tłumić swe westchnienia  
Ostatnie schnącej piersi wysilenia,  
I oddech jego coraz rzadszym bywał,  
I coraz ciszéj, ciszéj się odzywał;  
Wyteżam ucho — ale nadaremnie,  
Wołam na niego — przestрах dziczał we mnie,  
Zdawnam ja, zdawna śmierć jego przeziarał,  
Lecz znieść nie mógłem, aby już umierał.  
Krzyczę — i słuchem w straszną sięgam ciszę....  
I zdaje mi się, że głos jego słyszę;

Jednym mym rzutem więzy się rozdarły,  
Biegnę ku niemu, przybiegam — umarły!  
Sam więc zostałem — sam w tym lochu żyłem,  
Sam to powietrze stęchłe, strute piłem.  
Drogie, najdroższe ogniwo żyjące,  
Co mi zostało jeszcze ostatecznie  
Wiążące z ludźmi, z wiecznością dzielące,  
W téj strasznej chwili zerwało się wiecznie.  
Stałem pomiędzy braćmi umarłemi,  
Jeden pod ziemią — a drugi na ziemi. —  
Wziąłem go za dłoń — w lód się obróciła,  
Niestety! moja równie zimną była.  
Wpadłem w stan jakiś martwości i wrycia,  
Czucie mi tylko pozostało życia,  
Wściekle uczucie, które w sercach ludzi  
Strat ich, już wiecznych, straszna pewnoś budzi.  
Chciałem umierać, a nie mogłem przecie,  
Nie wiem dla czego, gdyż wszystko już w świecie  
Wszystkom utracił — lecz wiara została  
I ta na życie targać się nie dała.

## IX.

Nie jestem w stanie i nigdy nie byłem,  
Okryślić, co się wówczas działo zemną;  
Uzucie światła, powietrza straciłem,  
Ciemność mi nawet niedość była ciemną,  
Z zamarlém sercem martwy jak słup stałem,  
Bez czucia — myśli — kamień wśród kamieni:  
Tyle ja tylko o sobie wiedziałem,  
Jak skała, co się chmurą mgły ocieni.  
Wszystko tak było ciemne — martwe — śniade,  
Ni to blask dzienny — ni nocna pomroka,  
Ni nawet lochu mego światło blade  
Tak nienawistne dla więzionych oka;  
Lecz jakaś przestrzeń wymarłej pustości,  
Jakaś zastałość — jakaś wrytość w czczości,  
Jakiś świat bez gwiazd — ziemi — czasu — zmiany,  
Bez cnót — bez zbrodni — świat ciszą zalany,  
Tchnienie zastygłe, które już nie żyło,  
A przecież jeszcze i śmiercią nie było,

Jakieś stęzałej gnuśności przestworze,  
Nieme — bezkresne — i umarłe morze.

## X.

Nagłem się z mego snu myśli przecucił;  
Ptaszek wśród mego zaśpiewał więzienia,  
I znowu uciekł i znowu zanucił,  
Słodkie, czarowne wywodzący pienia.  
Podniosłem oczy i mile zdumiony  
Wzrok mój na wszystkie rozsyłałem strony,  
I tak te lube uniosły mię dźwięki,  
Że nawet mojej zapomniałem męki.  
Lecz zmysły moje, wracając stopniowo,  
W zwykłą się sferę ściągnęły na nowo,  
I znów widziałem jak loch mój ponury  
Zwolna czarnemi zamykał mię mury,  
I znów się światło błędnego promienia  
Snulo — czołgało po ziemi więzienia.  
Ptak się ten wsunął przez szczelinę muru,  
I siadł nad brzegiem tej strasznej głębiny,

Miał on skrzydełka ślicznego lazuru,  
A mniej był trwożnym od leśnej ptaszyny,  
Tysiąc on uczuć w swém pieniu wylewał,  
I jak się zdało wszystkie dla mnie śpiewał;  
Nigdy nie widział ptaszyny podobnej,  
Nigdy nie ujrzę tak wdzięcznej, nadobnej,  
Zdała się smucić po jakiejś utracie,  
Przecież spokojniej niżli ja po bracie.  
Przyszła mnie kochać, kiedy już nie było  
Żadnego serca, coby dla mnie bilo.  
Śpiew jój tak mile do duszy się wciskał,  
Żem przez nią myśli i uczucie odzyskał —  
Przybyłaż ona z lasów, gór, lub pola,  
Czy téż z swój klatki w moje otchłań ciemną?  
Uroczy ptaszku! znając co niewola,  
Nie byłbym żądał, byś się więził zemną.  
I myśl mi przyszła — że w tym wdzięcznym stroju  
Przybył on z krain wiecznego pokoju.....  
Grzeszném zapewne było to dumanie,  
Jam się rozplakał i uśmiechnął na nie,

Mysząc, że może dusza mego brata  
Przyszła z tamtego odwiedzić mię świata,  
Kiedy wtém skrzydły zerwał się płochemi,  
A ja poznałem, że był ptakiem — ziemi!  
Brat by mię nie był tak srodze zasmucił,  
Ni tak podwójnie samotnego rzucił.  
Byłem samotny — jakby trup na marach,  
Samotny — jak ta chmurka drobna, sina,  
Co się tam błąka tak sama — jedyna  
Po niezmiierzonych błękitu obszarach.  
Jedyna zmarszczka na czystym lazurze,  
Powiewna plamka na świetném sklepieniu,  
Co Bóg wie, po co czerni się tam w górze,  
Gdy ziemia w kwiatach, a niebo w promieniu.

## XI.

Doznałem wreszcie w losie moim zmiany.  
Wzruszył dozorców stan mój oplakany,  
Nie wiem dla czego, gdyż od lat tak długich  
Przywykli patrzeć na nieszczęścia drugich —

Pozostał jak był łańcuch mój skruszony,  
I tak mi wolność nadano chodzenia,  
Z jednej do drugiej przebiegałem strony,  
I w zdłuż i w poprzek całego więzienia;  
Gdzie tylko było stąpnać mi podobna,  
Wszystkom to schodził — każdy słup okrążył,  
I wszystkie razem i każdy z osobna,  
I znów się zwracał i na nowo dążył;  
Strzegąc się tylko abym stopy memi  
Grobowej braci nie nadepnął ziemi;  
Na tę myśl bowiem tak okropną, srogą,  
Że stopa moja groby ich becześci,  
Ciężki się we mnie oddech ścinał trwogą,  
Serce drętwiało — pękało z boleści.

## XII.

Wybiłem wschody długim w murze kuciem,  
Ale nie na to bym uciekał niemi;  
Gdyż kto mnie tylko ludzkim kochał czuciem,  
Zdawna już, zdawna w zimnej więdniał ziemi.

Cały ten okrąg — cały przestwór świata,  
Szerszemby tylko dla mnie był więzieniem;  
Nie miałem ojca — dziecięcia — ni brata,  
Nikogo, coby mojemu czuł cierpieniem.  
(I szczerze wyznam, śmierć mnie ich cieszyła,  
Gdyż ich męczarnia dla mnie piekłem była,  
Lecz chciałem po tym wdzierając się murze  
Z za kraty okna wykutego w górze  
Raz jeszcze Alp mych cieszyć się widokiem,  
Rzewnem — miłośnym na nich spocząć okiem.

## XIII.

Spojrzałem na nie — i te same były,  
Ja się zmieniłem, one nie zmieniły.  
Wieńczył je zawsze ów śnieg lat tysiąca,  
U stóp ich fale lśniły się Lemanu,  
I zawsze sina i bystro lecąca  
Szumnie się woda zlewała Rodanu.  
Słyszałem w górach huczące potoki  
Po pniakach krzewin, po łomach opoki,

Widziałem zdala miasta mur białawy,  
I z bielszym żagleń pływające nawy ;  
Widziałem i tę wysepkę nadobną  
Tak wdzięczną, miłą dla mego spojrzenia,  
Co mi się wówczas zdawała tak drobną,  
Mało co większą od mego więzienia.  
Wyspa ta była uroczej zieleni,  
Jedną — jedyną w wielkiej wód przestrzeni,  
Trzema się drzewy wieńczyła wzniosłemi,  
I z gór płynący wiatr powiewał niemi ;  
Bily ją wody, a tysiączne kwiaty  
Stroiły wdziękiem różnobarwnój szaty.  
Widziałem rybki igrające w wodzie,  
W całej wolności-i szczęścia swobodzie.  
Orzeł wysokim lotem w chmurach ginął,  
Nigdy on może tak szybko nie płynął,  
Jak mnie się wówczas z po za kraty zdało,  
I oko moje łzami się zalało.  
Osłabłem z tylu wolności widoków,  
I prawie moich żalowałem oków ;

A gdy znów zszedłem, ciemność mi więzienia  
Spadła na duszę jak ciężar kamienia.  
Zdało się, jakbym do życia wróciwszy,  
Nagle i wiecznie zapadł w grób straszliwszy;  
Przecież wzrok tylu znużony przedmioty,  
Wśród takiej tylko mógł spocząć ciemnoty.

## XIV.

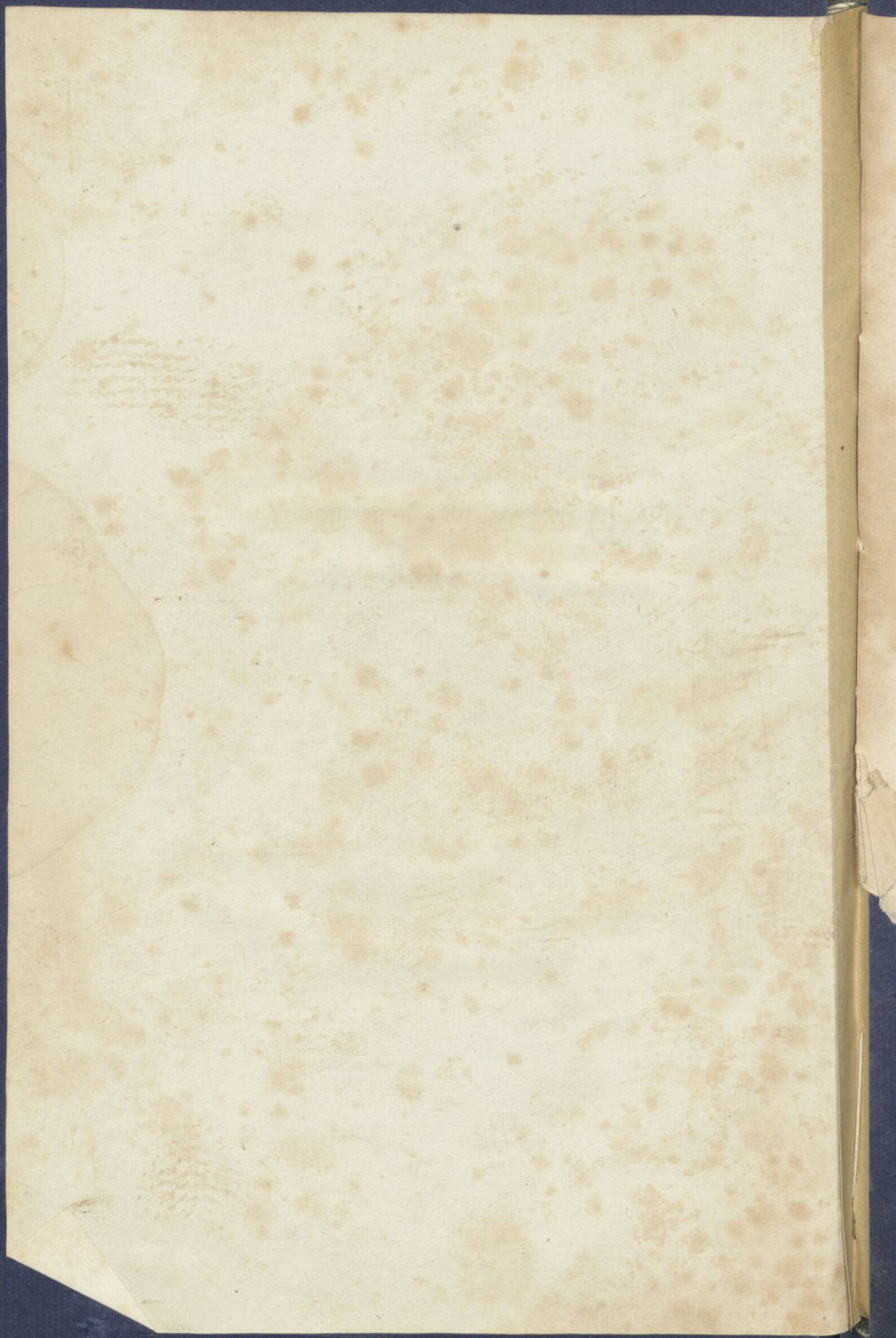
Liczne dni — lata mijały kolejną,  
Jam się ich płoną nie trudził rachubą,  
Z wszelką się bowiem rozstałem nadzieją,  
Bym kiedyś przejrzał przez tę mgłę tak grubą.  
Przyszli mię wreszcie wywlec z lochu mego,  
Lecz jam nie pytał gdzie — dokąd — dla czego?  
Bo czémże dla mnie wszystkie były wieści?  
Stałem się martwym na wszystkie odmiany,  
Zimnym na wolność — zimnym na kajdany,  
I jakoś w mojem wkochał się boleści.  
Gdy więc z tą nędzną wolnością przybyli,  
I wszystkim węzły w jednej zrywał chwili;

Śniade te mury z swą czarną jaskinią  
Stały się dla mnie ojczyzną — świątynią!  
I zdało mi się, jakby dłoń mych wrogów  
Znów mię z rodzinnych wydzieriała progów.  
Zawarłem przyjaźń z pajakiem więzienia,  
Zważałem zręczność wątłych nitek snucia;  
Myszka mi w świetle igrała promienia,  
Czemużbym nie miał podzielać ich czucia?  
Wszyscyśmy jedną tylko ustroń mieli,  
Jam był ich królem — mógłem dręczyć, zgładzać,  
Przecież, rzecz dziwna! wszyscyśmy umieli  
Zmieścić się, znosić i nawzajem zgadzać!  
Same ja wreszcie pokochałem pęta,  
Tak dusza długim nawykniem gięta,  
Gnie się i jakoś w nowy stan swój wrośnie —  
Zyskawszy wolność — westchnąłem żałośnie.



PRZYPISKI.





nie sędzę, aby prawo Poezyi rozciągało się aż do samowolnego wykładu pisma świętego.

*Tak przestraschu jak czasu igraszką jesteśmy.*

Gete tłumacząc to miejsce, nazwał ten monolog, przeciążony wstrętem i obrzydzeniem życia — wzmocnionym monologiem Hamleta. Wiele sztuki potrzeba, mówi on, aby wpłatać parentezy w jedną złąć całość. Przełożył on ten monolog, ile możności, dokładnie, nie uniknął przecież błędu dość dziwnego, biorąc *yoke* za *joke*, gdy pierwsze „jarzmo“, a drugie „żart“ oznacza, co mu Tieck w Novelli — *Uebereitungen* — wytyka. Czytałem innego tłumacza, i nawet jednego z lepszych, który *hearth*s, ogniska, wziął za „serca“, a *desert* za „puszczę“. Włoch jeden nawet z „błędnego ognika“ zrobił „wiecheć słomy“, co tak oburzyło Birona, że mu za rękopism przekładu 200 franków zapłacił, przyczém tłumacz nieszczęśliwy musiał wytrzymać cały wybuch gniewu autora i jeszcze zobowiązać się w piśmie urzędowém, że w życiu swoim żadnego z jego wierszów nie przełoży.

kazała.“ Tak uczynił, a pan go czekał, póki nie powrócił z odpowiedzią, bo dwie mile było biegać. Skoro go tam tedy wyexpedyowano, skoczył przodem i oddał panu kartę, w której Mazeppa deklaruje swoją gotowość do usług i obiecuje się zaraz stawić. Jakoż po chwili jedzie Mazeppa, spotkawszy się czoło z czołem, pyta pan Falibowski: „dokąd jedziesz?“ Powiedział, że gdzieindziej. Falibowski: „proszę na wstępną.“ Wymawia się Mazeppa, że pilną ma drogę, i pyta: „Wpan też widzę gdzieś jedziesz?“ Falibowski: „o, nie może być,“ a wtém cap go za kark, pytając: „a to co za karta?!“ Mazeppa zdechł ze strachu; nuż prosić, że to pierwszy raz dopiero jedzie i że tam nigdy nie postał. Falibowski woła owego sekretarza i pyta: „chłopie! siła razy tam był w mojej niebytności?“ Odpowiada: „ile włosów na mej głowie.“ Dopiero Falibowski kazał Mazeppę wziąć, a jadąc mówił do niego: „obieraj śmierć.“ Prosił, żeby go nie zabijać, i przyznał się do wszystkiego. Takci Falibowski nacudował się nad nim i namęczył, a rozebrawszy go do naga, przywiązał go na własnym jego koniu, zdjąwszy kulbakę i obrócił twarzą do ogona, a tyłem do głowy, ręce opak związał, nogi koniowi pod brzuch przywiązał, a potem bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, potężnie zhukano, kańczugami osieczono, a jeszcze mu nagłowek ze łba zerwawszy, kilka razy nad nim strzelono. Tak tedy ów bachmat jak szalony skoczył ku domowi, dokąd trzeba było jechać chróstami, przez głóg, leszczynę, gruszczykę i ciernie, a nie drogą przestronną lecz ścieżkami, któredy koń drogę do domu pamiętał, bo często tamtędy chodził, jak to zwyczajnie na czaty nie gościńcem ale manowcami jeżdżą, i trzeba

się tam bardzo często uchylać, choć cugle w rękę trzymając, mijając złe i gęste miejsca, a po staremu czasem i po głowie gałąź dała i suknie rozdarła, a tu dopiero nagiemu, tyłem do głowy siedzącemu, na tak bystrym i zhukanym koniu, który od strachu na oślep jechał, gdzie go nogi niosły; ileż się tam nie dostało specyaliów, dopóki owych szerokich chróstów nie przejechał, snadnie domyślić się można; a do tego miał i assistencyą z dwóch czy trzech ludzi, aby go nie puszczono i żeby się kto nad nim nie zlitował. Przypadłszy przeto przed swoje wrota ledwie żyw, woła stróża; stróż poznał głos i otwiera, lecz obaczywszy straszidło, co tchu zamknął i uciekł. Wywołał wszystkich ze dworu, ci zaglądnęli drzwiami i żegnają się; on się zwierza, że ich pan prawdziwy, oni nie wierzą; gdy już jednak mało co rzec mógł, będąc zbity i zziębły, puścili go. Falibowski zaś przyjechawszy do żony wiedział już wszystkie sposoby, zakolatał więc w to okno, którędy Mazeppa wchodził. Otworzono i przyjęto jako wdzięcznego gościa; ale co za to ucierpiała, tego nie godzi się tu opisywać. Mazeppa też ledwie nie zdechł, a wysmarowawszy się należycie, z samego wstydu wyjechał z Polski.

*Pamiętniki Paska, wydanie Raczyńskiego; p. 168—171.*

Karol widząc, że bitwa już zupełnie przegrana, i że nadzieja ocalenia w najspieszniejszym cofnięciu się mu pozostała, mimo boleści z ran pochodzącej, siadł na konia, i z ostatkiem swego wojska uszedł do miejsca, zwanego Perewolohna, leżącego przy samém ujściu Worskli do Boryżenu. Tam w towarzystwie Mazeppy i kilkuset zbrojnych

przepłynął szeroką rzekę, a uchodząc krajem pustym i zniszczonym, ciągle przytém śmiercią głodu zagrożony, dostał się wreszcie do rzeki Bohu, gdzie uprzejmie przez tureckiego baszę przyjętym został. Piotr Wielki żądał od Turcy wydania Mazeppy, ale nagła choroba hetmana, która jego skończyła się zgonem, uwolniła go od wściekłości straszliwego wroga.

*Barrow's Peter the Great.* p. 196—203.

Oprócz Woltera i Birona, Puszkina w poemacie „Pułtawa“, Zaleski w dumie, Słowacki w dramacie, a Bułharyn w romansie, starali się imię Mazeppy rozślawić. Najwięcej o nim i jego głośnych a tak licznych miłostkach wieści zebrał Alexander Przedziecki, i te w Iszym tomie Atheneum przez wydawcę Kraszewskiego umieszczone zostały. Znajdzie tam czytelnik oprócz Falibowskiej ciekawe szczegóły dotyczące się Karlicy Naryszkin, Motrony Koczubejownej i Xiężnej Dolskiej. Rozprawka ta Przedzieckiego przyozdobiona jest ryciną wystawiającą Mazeppę i *fac simile* podpisu hetmańskiego.

Tłomacz uznał za potrzebne sprostowanie kilku rysów w obrazie Jana Kazimierza.

PRZYPISKI  
do  
**OBLĘŻENIA KORYNTU.**

---

**W** roku 1715. wielki wezyr, dowodzący wojskiem tureckim, chcąc sobie otworzyć drogę do głębi Morei i obleść Napolí di Romania, najważniejsze w całym kraju miasto, zamierzył naprzód zdobyć Korynt, do którego kilka szturmów przypuścił. Załoga twierdzy tak słabą była, iż gubernator widząc niepodobieństwo opierania się dłużej tak potężnej sile, skłonił się nakoniec do układów, kiedy w ciągu toczącej się umowy zajął się przypadkiem ogień w składzie ogromnym prochów tureckich. Kilkaset beczek prochu wyleciało w powietrze i siedmset blisko ludzi zostało zabitych. Wypadek ten do takiej wściekłości przywiódł Turków, że nie chcąc już o żadnym słyszeć układzie, straszliwy szturm przypuścili do Koryntu i zdobywszy go, całą wysiekli załogę. W rzezi tej zginął i Minotti, gubernator kraju. Małą liczbę przez miecz oszczędzoną zajęto w niewolę wraz z Antonio Bembo.

*Historja turecka, tom III. str. 151.*

---

Poema to poprzedzone było z razu wstępem dość długim, który od tych słów się zaczynał:

*In the year since Jesus died for men.*

Mimo znajdujących się w nim piękności Biron, idący za radą przyjaciół światłych, kazał go w następnych ominąć wydaniach.

*Gdyby od krwawej śmierci Tymofana.*

Timoleon ocaliwszy w bitwie życie brata swego Timofana, skarał go później śmiercią, jako chcącego sobie przywłaszczyć najwyższą władzę nad Koryntem. Przeniósł obowiązki dla kraju nad względy związków pokrewnych. Dr. War-ton utrzymuje, że Pop miał zamiar z zdarzenia tego epicznie wysnuć poema, i że Akenside toż samo zamysłał.

*Turkoman rzucił swoje trzody, stada.*

Turkomany mieszkają zwykle w namiotach, przenoszą się z miejsca na miejsce i wiodą życie patryarchalne.

*Ostatni Greków ujarzmił krwawy.*

Kumurgi, faworyt trzech sułtanów i wielki wezyr za Achmeta III., zdobywszy w jednej wojnie cały Peloponez na Weneccyanach, w następnym roku ciężko został ranny w bitwie pod Peterwardinem, na równinie karłowickiej w Węgrzech, w chwili gdy rozbitych swoich jańczarów do nowego szykował boju. W skutku otrzymanej rany umarł nazajutrz. Nim skonał, rozkazał ściąć generała Bruner wraz z kilku innymi jeńcami. Ostatnim jego głosem był ten wykrzyk wście

kłości: „Czemuż nie mogę tak wymordować wszystkich psów chrześcijańskich!“ Słowa godne Kaliguli. Nic nie wyrównywało jego dumie. Kiedy mu doniesiono, że walczyć ma przeciw księciu Eugeniuszowi, wielkiemu wodzowi, „Tém lepiej — zawołał — większym jeszcze będę i to na zglębę jego.“

*Wodom tym przyплыw ni odpływ nieznanym.*

Niepotrzebném jest prawie przypominać czytelnikowi, że morze śródziemne nie podlega znacznym odpływom i przyplywom.

*Ślizga się, skrzypi, bielsza od kłów białych  
Czaszka w paszczekach już wiekiem stępałych.*

„Byłem — mówi Biron — świadkiem podobnego zupełnie widowiska w Konstantynopolu pod murami seraju, w grotach wydrążonych w skale przez wody Bosforu.“

Hobhouse w podróżach swoich toż samo opowiada.

*I z ich czerepów długich i zwieszonych.*

Długi ten kutas włosów na to jest zostawiony na głowie każdego Turka, aby, podług jego zabobonnej wiary, Prorok mógł go schwycić za niego i unieść do raju.

*. . . . . Postać przeraźliwa  
Bez iskry życia, a przecież jak żywa.*

W czasie lata 1803. roku Biron, mający rok szesnasty, codziennie wracał z Annesley do Newstead na noc i żadną prośbą wstrzymać się nie dawał. Utrzymywał on, że widok portretów familijnych, dawnych właścicieli Annesley, zawsze go strachu nabawia, z powodu pojedynku jednego z przod-

ków jego, z członkiem tej rodziny. Moore mniema, że wiersz ten Birona jest tylko odbiciem wrażenia ówczesnego.

W przekładzie tego poematu, opuszczono kilkanaście wierszy w ogólności, a mianowicie kilka w obrazie wybuchu Koryntu, w skutku świątłej krytyki Gifforda i wyznania samego autora, że szakalów nie ma w Grecyi. Skrócenie o kilka wierszy tego choć nadzwyczaj poetycznego, lecz nieco zbyt przedłużonego obrazu, nie będzie, jak mniemam, z krzywdą oryginału.

39

Raszyrakon —

PRZYPISKI  
do  
**PARYZINY.**

---

Poema to oparte jest na zdarzeniu przytoczonem przez Gibbona w „Starożytnościach domu Brunświckiego“. Lękam się, aby przesadzona delikatność czytelników nowszych czasów nie uznała podobnych treści za niewłaściwe dla poezyi. Grecy dramatycy i niektórzy z dawnych celniejszych autorów angielskich innego byli zdania. Niedawno temu Alfieri i Szyller okazali się z przekonaniem mojem zgodni. Wyciąg, który tu przytaczam, przywodzi czyny, na których moję oparłem osnowę. Imię Mikołaja III. zastąpiłem imieniem Azona, jako z tokiem wiersza zgodniejszém.

„Za panowania Mikołaja III. tragiczny wypadek zbroczył krwią mury Ferrary. W skutku doniesienia jednego z służących księżę panujący sam się przekonał o kazirodnych miłostkach żony swojej, Paryziny, z synem jego naturalnym, Hugonem, pięknym i walecznym młodzieńcem. Ścięto ich za wyrokiem ojca i męża obrażonego, który hańbę swoją jaw wystawił i śmierć ich przeżył. Wielce był nieszczę-

600  
Rn 115 / 49

śliwym jeźli winnymi byli, a jeźli niewinnymi, nieszczęście jego tém okropniejsze było. Ale czy wina ich była istotną czy nie, nigdy usprawiedliwiać nie mogę tak strasznego wyroku, wydanego przez ojca. *Gibbon, Rozmaitości tom III.*

Obszerniejsze szczegóły, tyczące się tego zdarzenia, znaleźć można w „Historji Ferrary przez Frizzi.“



